Rok VII. Lwów, Niedziela dnia 6. Czerwca 1880 r. Tom X.

TYGODNIK POLSKI

Nr. 23.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 zł. półrocznie 7 zł. kwartalnie 3 zł. 50 ct.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie **17** zł. **60** ct. półrocznie **8** zł. **80** ct. kwartalnie **4** zł. **40** ct.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:
W KSIĘGARNI POLSKIEJ
L. 14 plac Halicki.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni **J. K. Żupańskiego** w POZNANIU. PRENUMERATA w POZNANIU: Kwartalnie **7** m. z przesyłką **8** m. **50** f.
We Francji, Anglji, Ameryce itd. kwartalnie **10** franków.
W Krakowie skład główny w księgarni **S. A. Krzyżanowskiego.**

ZADORA

Historja z końca XVIII. wieku.

przez

J. I. KRASZEWSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Znali wszyscy Drobisza, że nigdy nie kłamał, tym razem jednak uderzywszy się w piersi, postanowił przez miłosierdzie nad Zadorskim, bąka puścić.

Zbliżył się do Długoszewskiego i rzekł mu na ucho:

— Zadorskiego z wyższego rozkazu w nocy wyprawiłem z pilnym interesem do Białocerkwi.

— Jakto? mojego dependenta, bez mojej wiadomości —?

— Była dyspozycja pana Strażnika...

Sekretarz głową pokiwał, nie miał już co odpowiedzieć.

Koniuszy szepnął — niech-że pan tak mówi, gdyby spytano. — I odszedł.

Pierwsza rzecz o którą z rana zapytała panna Rejentówna, co się tam dzieje z Zadorskim?

Zielońska jej odpowiedziała, że za pilnym interesem skarbowym wyprawiono go w nocy do Białocerkwi.

Na tem się skończyło dnia tego, a służba pogawędziwszy o tym nagłym wyjeździe, myśleć o nim przestała. Upłynął tydzień, przeszedł drugi, cicho było.

Księżna Wojewodzicowa ruszyła do Warszawy, a Długoszewski za nią. Jednego ranka gdy jeszcze wrota były zamknięte we dworze, z tumultem znacznym i pokrzykami, ujrzano dwie bryczki i trzy proste wozy chłopskie pełne ludzi zajeżdżające na rezydencją.

Koniuszy, który tu już teraz po rządzcy (a ten mieszkał opodal na zamku) — był najstarszym, wyszedł brwi namarszczywszy, gdy z jednej bryczki dobywał się Mazanowski, a z drugiej pan Ksawery Wysocki.

Radziwiłłowski oficjalista butno bardzo, ledwie głową kiwnąwszy przystąpił do Drobisza:

— Czołem!

— Kłaniam uniżenie.

— Ja tu od księcia Jegomości z misją jadę — odezwał się Mazanowski. Książę kłania i domaga się aby mu jego własność była wydana. Doszło do jego wiadomości, iż tu się we dworze ukrywa niejaki Zadorski, samozwaniec chłop, poddany książęcy, syn leśnika. Udaje on szlachcica, ale my mamy na to dowody, co za ptaszek jest.

— Zadorski? Jacek? — spokojnie odparł Koniuszy. Hm?

— Tak, tak! Jacek! — powtórzył Mazanowski.

— U nas go tu nie ma — dołożył Koniuszy.

Bystro popatrzył mu Mazanowski w oczy.

— Co, nie ma? jakto nie ma? ale!

— A, nie ma — rzekł Drobisz.

— Ależ był?

— A, był — mówił spokojnie ciągle, ręce kładąc w kieszenie Koniuszy i nie okazując by najmniejszego wzruszenia.

Mazanowskiemu krew nabiegała do twarzy, był przygotowany do kłótni, do awantury, ale do tego co go spotkało, wcale nie.

— Gdzież się podział? — krzyknął.

— Z pełna tego nie wiem — rzekł stary — bo nie mam obowiązku śledzić gdzie się kto obraca. Przed parą tygodniami wyprawiono go na Ukrainę do Białocerkwi, a co się potem stało, to do mnie nie należy.

Wysocki z Mazanowskim popatrzyli na siebie.

— Wszystko teraz djabli wzięli! — krzyknął leśniczy — roztrąbi się rzecz cała, a ptaszek nam furknie.

Wysocki pięścią się uderzył po biodrach.

— Trzykroć sto tysięcy...

Stali tak rozmyślając, nie wiedząc już jak swój najazd gwałtowny tłumaczyć, a Koniuszy począł poważnie:

— Muszę acindziejowi powiedzieć to, że się na niego do księcia JM. skarżyć będę, bo się na dwór wojewodzicowej nie napada z takim hałasem i z wozami pełnemi chłopów... Suponuję, że to prawda, iż się tu jakiś samozwaniec ukrywał, można było o niego inaczej reklamować.

— A cóż się stało! hę! — krzyknął Mazanowski.

— Stało się niepotrzebne larum — odparł Koniuszy, które jest dla nas obelżywem. Należało poszanować rezydencją.

— Która zbiegłych chłopów przechowuje! — zaśmiał się Mazanowski. My naszego dobra wszędzie poszukiwać mamy prawo.

— Tylko ichmość powinniście naprzód dowieść, że ono wasze, a tu dowodów nie ma — odparł koniuszy.

— Okażą się dowody! — zawołał Mazanowski.

Wysocki go począł w bok trącać.

— Daj bo ty pokój! dosyć już tego.

— Ja tylko to dodać muszę — zawołał niedający się pohamować Mazanowski, że okaże się li, iż państwo przez jakąś powolność protegujecie a ukrywacie zbiega, naówczas książę się o szkody swe upomni, nie podaruje...

Koniuszy się rozśmiał, a że w dziedzińcu czeladź stała, okazując Mazanowskiemu despekt jawny — odwrócił się od niego do czeladzi i rzekł:

— Hryćko! konia mi okulbacz — a

drugi niechaj jedzie z tym listem com mu dał. Wańka, do rznięcia sieczki! Czego stoisz?

Mazanowski stał nie mając mówić do kogo. Nie było też tu co robić, konfuzji doznał tem większej, że co było ludzi we dworze, słuchało i patrzało na nią.

Zły bardzo żachnął się leśniczy Radziwiłłowski; chciał się już żegnać, nie było z kim. Plunął i poszedł do bryczki.

Wysocki mrugnąwszy nań, aby do miasta, do gospody jechał, sam został. Dopiero gdy Mazanowskiego odchodzącego posłyszał, zwrócił się twarzą ku niemu Drobisz.

Popatrzyli sobie w oczy.

P. Ksawery byłby zaszedł do swej bohdanki panny Rejentównej, ale ta razem z księżną odjechała do Warszawy, co nawet ślub jego do Wielkiej Nocy odłożyć zmusiło. Drobisz mu się uśmiechnął.

— Niechże Radziwiłłowski ów egzekutor — rzekł — ale WMość panie Skarbnikowiczu co tu porabiasz? Czy to się godziło do najazdu mu posiłkować?

— Ja? mnie? — zaśmiał się Wysocki — ale ja tylko z ciekawości przybyłem...

Stary ramionami ruszył.

— Nie było się na co wytrzeszczać — rzekł.

Potem dodał zaraz:

— Cóż wać pan w żałobie po Rejentównie?

Wysocki pokręcił wąsa.

— Co mam być w żałobie, przecież panna powróci?

— Skarbnikowicz pewnym tego jesteś? —zapytał stary—bo ja, nie. Kobiety są istoty bardzo chytre i przewrotne, nie mówię tego o Rejentównie, ale tak, jeneralnie o całej płci białej. W Warszawie miała i ma panna Klarysa pretendentów wielu, nuż tam kto asindzieja ubieży?

— Ale! zaś! — zawołał Wysocki—co za przypuszczenie??

Koniuszy się śmiać począł; ale klina tem zabił okrutnego Wysockiemu, który bardzo markotny go pożegnał.

Co myślał, nie wiemy, ale nim znowu do równowagi z humorem przyszli, on i Mazanowski, musieli garniec wina kwaskowatego wypić u żyda.

Gdy się rozjeżdżali, Mazanowski się srodze odgrażał, a Wysocki zadumywał. Ciągle mu na myśl przychodziło, co powiedział Koniuszy.

— A nuż w Warszawie Rejentówna sobie kogo znajdzie?

Gdy proroctwo to na wiatr wygłosił stary Drobisz, nie było mu w głowie aby się ono sprawdzić miało; ale powiedział to w złą godzinę. W istocie zaraz po przybyciu do Warszawy, zgłosił się dawny amant panny Klarysy, właściciel teraz kamienicy, którą w sukcesji po bracie otrzymał; człowiek zamożniejszy od Wysockiego, a, co więcej, mieszkający w stolicy i chodzący po francusku. Po krótkim namyśle Rejentówna mu oświadczyła:

— Ma co być, to natychmiast, bo mnie już to przebieranie znudziło.

Do Kodnia doszła wiadomość o zamążpójściu Rejentównej tak jakoś insperate, że jej nikt wierzyć z razu nie chciał; a gdy Wysocki się dowiedział, z razu gotów był jechać męża niewiernej zastrzelić. Rychło się jednak umitygował z skończył szlacheckim wykrzyknikiem:

— Niech ją tam djabli wezmą! Po kilku dniach wielkiego smutku, zalewanego winem i gorzałką, wpadł Ksawery na myśl szczęśliwą, ponieważ Jacek zniknął, powrócenia do Łowczanki.

Wybrał się zaraz do Wólki.

Udało mu się naprzód przysiąść do samej pani, której zwierzył się z imprezy swojej.

— WPan wiesz, panie Skarbnikowiczu — rzekła — że my córce zadawać gwałtu nie chcemy. Pomów-że no naprzód z nią, czy ona zechce, a zgodzi się... ja nie mam nic przeciw niemu.

Wyszła i panna Barbara, a trzeba wiedzieć, o czem w całej okolicy mówiono, że od zniknięcia Zadorskiego ciągle chodziła czarno. Wyśmiewano ją nawet z tego. Gdy ją zobaczył bladą, z twarzą nasępioną, ledwie miał odwagę przystąpić. Najakawszy się trochę, w ostatku powiedział co go sprowadzało.

— Bardzom panu wdzięczna za jego afekt wytrwały — odpowiadała panna — ale ja słowa mojego nie odmieniam. Za kogom wczoraj nie chciała, nie pójdę nigdy.

Oniemiał Wysocki.

— Przecie ten Zadorski nie wróci? — rzekł gniewnie uniosłszy się.

— A któż to wiedzieć może? — odparła Basia.

— Jakby powrócił to go książę jako swojego poddanego będzie reklamował? — rzekł Wysocki.

— Byle mógł, nie wątpię, bo Mazanowski się na nim mści za to, że go wypłazował—odpowiedziała panna śmiało—nie wiadomo tylko czy książe dowiedzie, a jego leśnicyośmieli się na gwałt.

To rzekłszy odwróciła się i poszła do swojego pokoju, a Wysocki burknął coś i odjechał.

Więcej już w Wólce nie postał.

(C. d. n.)

O tronie elekcyjnym domu Jagiellonów w Polsce

przez

Kazimierza Stadnickiego.

(Dokończenie)

Ponieważ dokument zawierający prawa i przywileje W. księstwa, jeszcze nie był sporządzonym, przeto nowo obrany musiał w sam dzień wyboru, formularz onego przysięgą swą stwierdzić [112]). W tymże dokumencie warowano, że jeżeli uda mu się tron polski uzyskać, W. księstwo z tego powodu uszczerbku nie poniesie. Dnia 27. października r. 1506 nastąpiła koronacja

[112]) Kodeks dypl. Polski. T. I. str. 362. Dokument ów gotów był dopiero w grudniu r. 1506 i d. 7. t. m. Zygmunt powtórnie go podpisał (Item str. 364).

Zygmunta w katedrze wileńskiej Biskup wileński r. k. włożył mu czapkę książęcą, *Grek* kniaź Michał Gliński podał mu miecz [113]). Polacy: Łaski i Maciej Drzewiecki byli przytomni, ale udziału [114]) nie brali. Powtarzamy, cała ta akcja świadczy, iż nietylko Litwa ruska w mniejszości co do znaczenia będąca, ale i Litwa polska czyli katolicka przeciwną była nie Unji, tak zwanej personalnej, t. j. aby W. ks. był oraz królem polskim, ale zlaniu w jedno państwo W. księstwa z Koroną; a ta Litwa polska miała władzę w ręku. Ktoby wątpił o tej niechęci, niech przeczyta w kronice litewskiej słowa wyżej już przytoczone co pierwszy senator biskup wileński na sejmie w Radomiu roku 1505, do króla wystosował. A potem biskup wileński *Tabor* mówił do króla „Niewinnie twój gniew hospodarski nas dotknął. My nie stanęli przeciw tobie, aleśmy bronili praw i przywilejów naszych, a jako pasterz tutejszego państwa i wasz, powinienem strzedz, aby ty nas utrzymał przy naszych prawach, a ktoby chciał je zgwałcić tego zemsta boża dotknie.“

Po tej dotkliwej porażce bo taką było w obec ustawy mielnickiej wyniesienie królewicza Zygmunta na stolec W. księcia a nawet w obec dawniejszych ustaw, niedanie Polsce możności wzięcia w tem udziału, Rada koronna poczuła się do obowiązku ratowania tego co się jeszcze dało uratować, a więc przeprowadzenia wyboru W. ks. Litwy na króla, inaczej jedyny węzeł co łączył oba narody byłby zerwanym. Rozpisała więc sejm elekcyjny na pierwsze dni grudnia r. 1506 i wracając do dawnych pąktów oraz przez wzgląd na przyszłego elekta zawiadomiła o tem senat litewski [115]).

Zjechał na ten sejm poseł króla Węgier, Władysława Jagiellończyka, aby złożyć zgromadzeniu zrzeczenie na rzecz ks. Zygmunta praw jego pana do tronu po dziadzie i ojcu odziedziczonych co wraz z testamentem wyżej przytoczonym króla Aleksandra dowodzi, jaki rozbrat istniał w tym względzie między dynastją Jagiellońską, która i na obcych siedząc tronach Polskę uważała jako swą dziedzinę, a narodem trzymającym się zacięcie prawa elekcji swych królów, pomimo że owe prawo było illuzorycznem, bo rozwój dziejowy zmuszał do ograniczenia wyboru na ród jeden [116]). Na dniu 8. grud. więc według modły przy elekcji króla Aleksandra postanowionej, sami do-

[113]) Tomiciana t. I. komentarz Górskiego. Stryjkowski.

[114]) Widocznem to z listu rady litewskiej do sejmu polskiego, zgromadzonego w Piotrkowie, i który wręczyli posłowie na ten sejm delegowani. »Wasza Miłość (mówili) nie raczyli posłów swoich na elekcją (Zygmunta) przysłać, ale my nie chcąc sami w tę rzecz wstępować, prosili tych posłów, którzy na on czas byli w Wilnie, aby raczyli wspólnie obierać; jakoż raczyli być tam, gdzie nasz miłościwy Pan wybrany został.« (Ob. starannie opracowaną rozprawę przez K. P. »Przyczynek do elekcji Zygmunta I. w Polsce i Litwie« w Bibljotece Warszawskiej, t. II. na r. 1876 str. 305 –316.)

[115]) Dzień, w którym sejm otwartym być miał, nie dał się dotąd wyśledzić, ale musiało to być w pierwszych dniach grudnia, kiedy ósmego nastąpił wybór króla, a 29. listopada Mikołaj Kościelecki, biskup Chełmiński, dał Janowi z Kalinowy pełnomocnictwo głosowania w jego zastępstwie na Zygmunta. (Inventarium archivi reg. wyd. w Paryżu str. 180.) Co do zawiadomienia Litwy, na to mamy list wierzytelny, wydany dnia 23. listopada r. 1506 kilku członkom z jej grona do zastąpienia jej na sejmie w Piotrkowie. (Codex dipl. Pol. t. I. str. 363.)

[116]) Wapowski mówiąc o tem poselstwie z Węgier z widoczną antytezą do treści onegoż, zastrzega, że Zygmunta na króla wybrano dla znakomityeh jego zdolności, tęgości duszy i rozsądku, jakiego dał dowody, rządząc Szlązkiem.

stojnicy więksi i mniejsi obecni lub przez pełnomocników głosujący, obwołali jednogłośnie królewicza Zygmunta królem polskim. Koronacja miała miejsce 24. stycznia r. 1507 [117]). Po *dokonanej* elekcj dopiero przybyli do Piotrkowa delegaci ze strony Litwy zesłani, hetman polny, Stanisław Kiszka i Jan Zabrzeziński, marszałek W. księstwa [118]). Skończyło się na rekryminacjach z jednej, a niezgrabnych tłumaczeniach z drugiej strony. Posłowie koronni wymawiali Litwinom wybór przedwczesny W. księcia z powodu, że według paktów oni li tego W. Księciem obrać mogą, którego uprzednio Polska królem obwoła Co do tego byli w obłędzie bo konstytucja Piotrkowsko-mielnicka, ostatnia z rzędu, przeto prawo, milcząc o W. księciu, stanowiła, że jeden ma tylko być król dla obu narodów. Jeżeli zaś poszła w zapomnienie a chciano się trzymać dawnych paktów, te znowu jedynie stanowiły, że po zgonie W. kćięcia, Litwa wspólnie z Koroną, jeżeli posłowie tejże na czas się stawią, przystąpić ma do wyboru następcy; toż samo prawo waruje się Litwie, gdy tron polski osierocieje [119]). Ze swojej strony posłowie litewscy wręczyli pismo swych mocodawców [120]) zalecające post festum wybór Zygmunta na króla. W tym liście, nie przypuszczając nawet aby mogło być im zaprzeczonem prawo wyboru samoistnego W. księcia, pokrywają to milczeniem, tłumaczą tylko pośpiech, z którym do tegoż przystąpiono, (co do tego pośpiechu wykazaliśmy wyżej jak się rzecz miała), obawą, aby podczas interregnum Moskwa nie zabrała pogranicznych ziem i zamków. A przecież wiele to ziem i zamków przeszły w posiadanie moskiewskie, pomimo że W. ks. Aleksander rezydował we Wilnie! A cóż mogło skuteczniej uchylić to niebezpieczeństwo jak zlanie całkowite sił polskich z litewskiemi?

Ironja losów sprawiła, że we wilją wyboru swojego na króla Polski, W. ks. Zygmunt potwierdził osobnym dyplomem wszystkie prawa i przywileje odrębne Litwy [121]). Od ukazania się Władysława Jagiełły nigdy reprezentacje Polski i Litwy nie były sobie tak obce niż na początku wieku szesnastego, po upływie lat studwudziestu. A przecież Litwa olbrzymim krokiem polszczała. Bowiem nie unje na pargaminie równych z równymi, wolnych z wolnymi tworzą jedność. Inne do tego wchodzić muszą czynniki.

Rozważny król Zygmunt uznał, że niebezpieczną jest sprawą dwa odrębne szczepy wystawiać na częste próby, jaką jest wybór władcy. Dziwnym trafem, mógł on w tym względzie więcej rachować na Polskę, niż na rodzimą Litwę. Po przeszłych objawach był tego pewien, że póki mu stanie potomków, naród na tron swój królewski ich powoływać będzie. Inaczej w Litwie, tam wprawdzie trzymano się wytrwale zasady, że tylko ród Gedymina w W. księstwie panować może, ale w obec dążności do posiadania odrębnego W. księcia, któryby rezydował we Wilnie, sięgały czasem zachcianki po za potomków ostatniego panującego. Wszakże silne stronnictwo wzywało *Olelkowiczów* syna i wnuka Włodzimierza, brata króla Jagiełły do objęcia władzy [122]). Ale byli to Litwini w Polsce osiedli. Inaczej się rzecz miała z innemi gałęziami tego szczepu. Najstarsza, bo pochodząca od Narymunta, starszego syna Gedymina już z początkiem wieku piętnastego przeniosła się do Moskwy i licznie tamże rozmnożyła się. Po niej Książęta *Bielscy* ze starszej linji Olgierdowiczów poszli tą samą drogą, za panowania króla Aleksandra. Ostatni, między zbiegami, współczesny Zygmunta, ale który większe od innych, mógł sobie rościć prawado Litwy, bo był prawnukiem Jewnuty, który po ojcu Gedyminie, władał Litwą i z tronu strąconym został. Michał zasławski rezydował jeszcze w Mścisławiu [123]). Dla czegoż by więc w celu uzyskania odrębnego W. księcia serca Litwinów nie miały zwrócić się ku któremu z tych Gedyminowiczów, a mianowicie ku ostatniemu.

Te były powody [124]), które skłoniły Zygmunta, gdy mu się urodził syn (1. sierpnia r. 1520) do przedsięwzięcia kroków, aby tenże za życia ojca ogłoszonym był W. księciem Litwy, a wybranym i koronowanym królem Polski. Co do Litwy uzyskał przyrzeczenie senatu już w r. 1522 [125]). Po upływie siedmu lat, dziesięcioletni królewicz d. 18. października r. 1529 uświęconym, uroczystym obrzędem na tron W. książęcy wyniesionym został [126]).

Po spełnionym tym akcie, król udał się na zgromadzenie dostojników, które zwołał do Piotrkowa, w podobnym celu. Przed tym trybunałem sprawa sukcessji na tron już od lat kilku zagajoną była, i też na posiedzeniu z 18. grudnia r. 1529 ogłoszono jednogłośnie Zygmunta Augusta następcą ojca w Polsce [127]). Uroczysta koronacja miała miejsce w Krakowie na dniu 20 lutego r. 1530. Elekcja i koronacja, owe były to ostatnie w rodzie Jagiellonów po mieczu. I tu główne źródło, kronika Wapowskiego, mówi, że sejm elekcyjny w Piorkowie składał się ze samych dostojników „rex *optimatum* Conventum Petricoviae tennit ubi *senatus regni* favore, Sigismundus adolescens in regno Poloniae patri successor est declaratus". Świadectwa większej wagi dostarczają pisma urzędowe Zygmunta I.

W r. 1527 gdy zaczęto chodzić około tej sprawy, Książę pruski, lennik Korony, udał się przez posłów do króla, aby mu przy najbliższej elekcji oraz nadal przyznano prawo brania udziału w wyborze króla. Odpowiedź wypadła stanowczo odmowna, z powodu, że jest to zasadą przez czas uświęconą, jako prócz *dostojników koronnych* nikt z wyższych stanów przypuszczonym być może do wyboru króla, nie wyłączając Książąt mazowieckich, którzy ni głosu ni miejsca na sejmach elekcyjnych mają, a są to przecież krajowcy z krwi i kości, panowie rodzimi tego państwa. Mimo to, żądanie ich, by po śmierci króla Kazimierza, ojca panującego, oni do ellekcji jego następcy przypuszczeni być mogli, nie zostało uwzględnione [128]) Tak samo edykt Zygmunta I. z . 1530, w którym zaręcza, że syn jego już obrany królem, gdy dostąpi wieloletności prawa i wolności krajowców potwierdzi wyraźne poświadczenie zawiera, że to stany duchowne i świeckie syna jego królem obrały [129]). Nakoniec przy tejże elekcji przypadek zrządził, że nie wszyscy *dostojnicy duchowni i świeccy* otrzymali wezwanie na sejm do Piotrkowa. Musiało wywołać to niezadowolenie o czem świadczy edykt kancellaryjny i królewski, aby na przyszłość miejsca to nie miało i w pełnem zgromadzeniu wybierano króla [130]).

Jak obejmie się myślą okres lat trzydziestu, od chwili, kiedy po zgonie królowej Jadwigi (rok 1399) dostojnicy państwa na klęczkach błagali Władysława Jagiełły, aby narodu nie opuszczał, ale poślubiwszy drugą dziedziczkę tronu, został ich królem nadal, aż do 20 lutego r. 1530, kiedy jego dziesięcioletni prawnuk w katedrze krakowskiej otrzymał królewskie namaszczenie, natenczas zaprzeczyć niepodobna, że naród, raczej ci co go w onych czasach przedstawiali, w ehwilach stanowczych zawsze dawali dowody dojrzałości

---

117) Acta tomiciana, komentarz Górskiego, Stryjkowski, Wapowski, który przechował cenny ów szczegół co do modły elekcji »optimates, mówi, Petricoviae frequentes convenerunt. Omnium magnatuum suffragiis rex est declaratus«.

118) Acta tomiciana t. I. komentarz Górskiego.

119) Quod defuncto magno duce Lith. sine scitu et consilio praelatorum, baronum procerum et nobilium regni Poloniae ad electionem M. Ducis novi non procedemus sed eum ipsis pariter, si vocati tempore congruo venire voluerunt, M. Ducem eligemus. Similiter defuncto rege Poloniae etc. (ut supra). Zbiór praw litewskich, Konstytucja z r. 1499. Na to, aby Wielkim Księciem Litwy tylko król polski mógł być wybranym, Litwa by się w owych czasach nie zgodziła, bo Polska mogła obrać kogo chciała, Litwa przeciwnie, miała swoją dynastję.

120) Ob. to pismo, podane całe w rozprawie już przytoczonej: «Przyczynek do elekcji Zygmunta I. w Litwie i Polsce.« W Bibljotece Warszawskiej na rok 1876 t. II.

121) Kodeks dypl. Polski t. I. dok. 206 z r. 1506.

122) Ob. Bracia Władysława Jagiełły. Ustęp: Aleksander i Szymon Olelkowicze.

123) Ob. Synowie Gedymina, oddziały: Narymontowicze — Jewnutowicze w sprawozdaniach wydz. hist. filozof. akad. um. Bracia Wład. Jag. kniaziowie bielscy t. III.

121) Może te powody król Zygmunt miał na myśli, gdy w piśmie z r. 1530, dając stanom przyrzeczenie, że syn, jak tylko wieloletności dostąpi wszystkie prawa i przywileje narodu potwierdzi, przytem tak tłumaczy, dlaczego tenże jeszcze za życia koronowanym został: «quod cum ordines status utriusque tam saecularis quam spiritualis considerantes horum temporum motus ac malignitatem, prevenireque volentes seditiones turbas quae vacantibus regnis contingere solent unanimi consensu filium nostrum elegerunt et coronaverunt in regem hujus regni nostri«. (Vol. legum t. I.)

125) Świadczy o tem Edykt Zygmunta I. z 6. grudnia r. 1522, w którym przyrzeka Litwie jednostajne prawo, w nagrodę, że przyjęła syna jego za następcę w W. Księstwie «filium nostrum Sigismundum unanimi voto in haeredem et magnum ducem receperunt«. (Zbiór praw litewskich str. 121.)

126) Annus hic 1529 (mówi Wapowski) non solum Turcorum expeditione insignis sed etiam Sigismundi adolescentis sublimatione fuit memorabilis quem Lithuani proceres die octobris decima octava patri regi successorem solenni ac solita ceremonia designarunt, Bona regina matre presente ac spectante.

Tożsamo Bielski i Stryjkowski mówi, że wyniesienie Zygmunta Augusta na tron W. Ks. miało miejsce 18. października r. 1529. Stryjkowski mówi, w dzień św. Łukasza ewangelisty, a właśnie na 18. października owe święto przypada. Przeciwnie w zbiórze praw litewskich, wydanym wytwornie w Poznaniu r. 1841, na edykcie, który nie po wyborze na następcę tronu, co już, jak wyżej mówiono, w r.1522 miało miejsce, ale po wyniesieniu Zygmunta Augusta na tron W. książęcy w r. 1529 («filium nostrum in magnum ducem ceremoniis solitis eveherunt») ogłoszonym został, położono datę «Sti Lucae evangelistae. a. 1522« z dodatkiem, że data znaczy 22. kwietnia!! Jest to jeden z licznych przykładów dokładności tak zwanych monumentalnych wydań naszych.

127) Bielski i inni. W publikowanym fragmencie Kroniki Wapowskiego, przez omyłkę podany 20. października zamiast grudnia.

128) Cantum et observatum esse omni tempore nequis alius excellentioris ordinis praeter consiliarios regni jus eligendi regis haberet ut etiam et duces Maroviae qui principes erant indigenae regni et domini naturales hujus regni neque locum neque vocem eligendi regis, post obitum patris habere potuerunt etc. etc. (Vol. legum t. I. str. 485.)

129) Ob. legum t. I. Cum ordines status utriusque tam spirituales quam saeculares etc.

130) Quoniam in eligendo Augusto mos denuntiandi electionem omnibus regni ordinibus praetermissus fuit cavet ne in posterum fiat et reges ut nonnisi in electione assumantur. (Inventarium archivi regni. Parisiis editium pag. 183.)

*

niepospolitej, statku, jasnego poglądu na żywotne interesa kraju, poświęcenia ogólnemu dobru wszelkich osobistych widoków.

Sejmy owe elekcyjne odbywały się w największym porządku, co tem więcej podziwienia godnem, iż aż do elekcji Aleksandra w r. 1501, przeto przez cały wiek pietnasty, nie istniała stała norma, kto miał w nich uczestniczyć. Zjeżdżali się więc nietylko dostojnicy duchowni i świeccy, ale przy pierwszych elekcjach często i szlachta w wielkiej liczbie, a kandydaci do korony, jak książęta mazowieccy, ze siłą zbrojną, co zaś swobody w obradach nie tamowało. Raz tylko jeden Jan Olbracht, zagrożony współzawodnictwem księcia mazowieckiego, groził, że przemocą wybór siebie uzyska. Ale gdy rozum stanu przemawiał za nim, jako Jagiellończykiem, proceder ów nie stał mu na przeszkodzie. O wpływach zagranicznych korupcji, które na wieki skaziły delegacje w sprawach podobnych zwołane za czasów Kazimierza Wielkiego i Ludwika węgierskiego ani śladu. Ale co dziwniejsze, gdy na zgromadzeniach nietylko ze samych dostojników złożonych ciż częściowo przechylali się na stronę, jedni Piastów, drudzy Brandeburczyków, szlachta gromadnie dawała swe głosy Jagiellończykowi, i zwyciężała.

Stosunek tak drażliwy i trudny do Litwy, cechowało, wobec niezachwiania w zasadzie, wielkie umiarkowanie. Zgromadzenia miały na oku, pomimo że tego otwarcie nie wypowiadały, że najwyższym (supremus) księciem Litwy nie może być kto inny, tylko król polski. Ale znosiły cierpliwie upokarzające niedotrzymywanie umów ze strony rady litewskiej, pośpiech, jaki przy każdem osieroceniu W. książęcego tronu przystępowała dowyboru następcy, bo były dobrze tego świadome, że Litwa bez Polski obejść się już nie może, równie że W. Książęta nie zrzekną się lekkim targiem korony królewskiej.

Wiadomo, że po zgonie Zygmunta Augusta nie miały więcej miejsca elekcje królów w szczupłem dostojników gronie, i że je zastąpiły gromadne głosowania szlachty na sejmach.

Niech nam przecież wolno będzie zastanowić się, jakie możliwie byłyby wyniki elekcji, w razie gdyby dawny zwyczaj nietkniętym pozostał. Prawdopodobnie idąc za przykładem praojców, powołanoby na tron najpierw *królewnę Annę*. Ale dając jej na męża Batorego, obmyślanoby mu następcę. Z tym samym instynktem dynastycznym, który natchnął gminowładzką szlachtę, powołanoby w razie niepłodności nowej dynastji, potomka po kądzieli Władysława Jagiełły, Zygmunta IIIgo, po nim dwoch jego synów, na synów Polski już przeistoczonych.

Powoławszy raz dynastję saską na tron, trzymanoby się nadal jej latorośli, które do dziś dnia istnieją, jak to postanowiła po niewczasie konstytucja z r. 1791. Ale w księgach dziejów nie byłyby zapisane potrącające o śmieszność wybory *Henryka Walezjusza,* dowcipnego nędznika, członka gasnącego rodu i który lada dzień powołanym być mógł na francuski tron; tudzież nieboraka *Michała Wiśniowieckiego,* nakoniec (ostatni traiczny płód wolnej elekcji królów) Poniatowskiego. Możeby również nie został policzonym w poczet głów koronowanych zacny *Leszczyński,* filozof dobroczynny, jak go nazywano, ale i Jan *Sobieski,* bo dzielny przedewszystkiem wódz może sobie zdobyć kraj i utworzyć dynastję, ale nader rzadkim trafem jest oraz udatnym królem.

KONIEC.

NIEKONSEKWENCJA P. DROMMEL.

NOWELLA

przez

WIKTORA CHERBULIEZ.

(Dokończenie).

VI.

Zdarzają się niekiedy w życiu wypadki tak dziwne, tak niezwykłe i nie do przewidzenia, że w pierwszej chwili snem się być wydają. Człowiek traci samowiedzę, nie poznaje się, mówi sobie: „Gdzież się znajduję? jestżem to ja w samej rzeczy?“ I aby się przebudzić, przeciera sobie oczy; ale, aby módz przetrzeć oczy, potrzeba mieć swobodne ręce, co wszakże nie u wszystkich bywa udziałem.

Na razie pan Drommel tak był pomięszany, że stracił zupełnie głowę. Cios niespodziany oszołomił go, ubezwładnił moralnie; niezdolny był myśli zebrać, ani opamiętać się co się z nim dzieje; gęsta chmura stanęła pomiędzy nim a światem całym.

Pierwszą myślą jego było, że jest w Goerlitz, w swym ogrodzie, w altance bluszczowej; chciał już zawołać:

— Ada, daj mi pantofle, a sama pobiegnij do drukarni i powiedz tym próżniakom zecerom, żeby mi korektę przysłali.

Widzenie ogrodu znikło, ujrzał się jak najwyraźniej wśród polanki leśnej i przypomniał sobie, że niedawno, przy świetle księżyca, spacerowało w tym lesie dwóch ludzi rozprawiając o skutkach i następstwach romantyzmu. Jeden z nich był socjologiem, wynalazcą syntezy; drugi zaś księciem sycylijskim, a książę ten traktował go jakby równego sobie, co socjologom niewypowiedzianą sprawiało przyjemność.

W tym punkcie rozmyślań, wielka jakaś mucha, która, biorąc jasny promień księżyca za światło słoneczne, spoczęła na wyniosłem jego czole. Chciał ją spędzić a nie mógł. To mu nastręczyło sposobność zrobienia ważnego odkrycia, że ręce jego skrępowane są jedwabną szarfą, a sam on jest więźniem dębu. Spojrzał na dąb, dąb popatrzył na niego. Miał już ochotę przyzwać na pomoc kochanego swego księcia; ale w miarę jak mu się rozjaśniało w głowie, nabrał przeświadczenia, że to właśnie szlachetny jego przyjaciel przywiązał go do drzewa, aby następnie skraść mu pieniądze i uciec. Zdawało mu się, że jeszcze widzi go uciekającego, że słyszy głuchy jęk monety unoszonej w największym pędzie przez gąszcze i zarośle, i zrobił to nader słuszne spostrzeżenie, że z każdą upływającą chwilą, moneta ta oddala się, staje się coraz trudniejszą do odzyskania, że niezadługo pomiędzy nim a nią cała już przestrzeń lasu będzie nieprzebytą zaporą.

Na taką myśl krew w nim zawrzała; a czując, że gniew dodaje mu siły, że ma na nogach buty siedmiomilowe dla doścignienia złodzieja, i dłoń żelazną dla przytrzymania go — zrobił gwałtowny wysiłek, aby się uwolnić. Ale dąb innego był zdania i nie puścił swego jeńca. Został on znieważony; ubliżano mu porównaniem z sosnami Saskiej Szwajcarji, skorzystał więc ze sposobności zemszczenia się i zemścił się, bo zemsta miłą jest dla serca starego, choćby nawet uschłego drzewa.

Skoro pan Drommel stwierdził bezskuteczność swoich usiłowań i nabrał przekonania, że i niemiecka gimnastyka na nic mu się nie przydała; wpadł w wściekłość, był jakby zgnębiony poczuciem własnej niedołężności, ku czemu przyczyniła się jeszcze: upokarzająca myśl, że dał się oszukać, wstyd, iż mógł uwierzyć w oliwne gaje i pomarańcze wielkości dyni w Malaserra, i wreszcie, żal gorżki, że pozwolił się wywieść w pole skończonemu łotrowi, który w tej chwili bezwątpienia zapija sprawę, szydząc z kochanego swego przyjaciela! Gdyby nie knebel w ustach, wydałby krzyk straszniejszy od owego, jaki przeraził Greków i Trojan na równinach Iljonu, krzyk ten jednak utkwił mu w gardle. Po raz drugi pan Drommel spojrzał na dąb, a dąb spojrzał na pana Drommel. Pan Drommel milczał, bo musiał, ale dąb, zdawał się szeptać mu do ucha: — Przypomnij sobie, o, socjologu znakomity! że najświętszem prawem na tym świecie jest prawo mocniejszego — *siła przed prawem.*

Co prawda, dąb nic nie mówił; ale nikt nie zaprzeczy, że mógł coś podobnego myśleć. Któż może wiedzieć, o czem myślą obrażone dęby?

Pan Drommel uspokoił się nagle, ułagodził.

— Ona nadjedzie! — pomyślał — niepodobna żeby nie miała przyjechać.

Miał na myśli swoją żonę.

Szczerze mówiąc, dręczyło go to, co żona pomyśli, kiedy go zobaczy w tak nieodpowiedniej dla niego sytuacji? Nie pozna w nim swojego pana, swojego bóstwa; gotowa się litować nad nim, a w takim razie i cały urok jego przepadnie! Napróżno szperał w swej głowie, aby wynaleść jakie stosowne wyjaśnienie mogące uratować zachwianą godność męża i pana nic nie przychodziło!

Kwadranse jednak mijały za kwadransami, a pani Drommel nie przejeżdżała i nikt nie zjawił się na drodze, z wyjątkiem tego jednego, co niezmordowany, bezustanku, krąży wśród lasów, to zatrzyma się na chwilę, musknie wierzchołkami drzew niebotycznych, trąci o stare buki, próbując, czy jeszcze trzymają się mocno, zaszeleści listkami, odkryje jedno i drugie gniazdeczko, szepcząc do zbudzonych przez siebie ptaszków:

— Nie bójcie się, to ja wiatr, tułacz wieczny, mimochcąc o was zawadziłem.

Co się stało jednak, że pani Drommel nie przybyła? Jak to być może, aby kobieta z takiem poświęceniem, tak troskliwa, z takiem przewidującem sercem, nie odgadła okropnego strapienia, jakiem dotknięty został jedyny przedmiot jej czci i uwielbienia? Straszna myśl przeszła przez głowę pana Drommel. Przypomniał sobie niektóre wyrażenia swego kochanego księcia, zachwyt, jakim zdawał się być przejęty na widok pani Drommel, uprzejmość, jakie okazywał jej podczas obiadu. Czyliż ten potwór sam się nie przyznał, że nie zwykł robić skrupułów z dziewiątem przykazaniem? Rozważając to wszystko, wydało mu się jasnem jak na dłoni, że ów złodziej kieszonkowy i Don Juan w jednej osobie, skradł mu jednocześnie pieniądze

i żonę, że stangret z Fontaineblau był galernikiem na żołdzie rabusia, i że teraz właśnie ukochana Ada, porwana i uprowadzona do jakiejś zbójeckiej jamy, wyrywa się z objęć fałszywego księcia, wołając rozpaczliwym głosem:

— Johann! Johann! ideale mego serca, broń mnie przeciwko temu nikczemnikowi!

Socjologa powtórnie wściekłość ogarnęła; zebrał resztę sił, próbując czy mu się nie uda zerwać prętów krępujących jego ręce. Mając organ mowy zatamowany, przemówił oczami do drzewa:

— Czyliż nie widzisz, ze muszę biedz na jej ratunek?

Ale dąb nie mrugnął nawet w odpowiedzi, a szarfa ani drgnęła. Była ona z dobrego zrobiona materjału, i nie mogło być inaczej, gdyż książęta Malaserra zwykli kupować tylko dobry towar i w najlepszym wyborze.

Zwolna, stopniowo, rozpacz naszego bohatera przechodziła w pewien stopień osłupienia. Odwrócił o ile mógł głowę, i przebiegł okiem polankę, na której się znajdował. Ujrzał tam wiele istot, jak mu się zdawało, szydzących z niego. Pięć wielkich dębów, w głębi polanki, gwarzyło między sobą; zdaniem ich, *Szaleniec* dobrze się spisał, płatając takiego figla niemieckiemu socjologowi; od uschłego drzewa trudno byłoby wymagać czegoś dowcipniejszego. Paprocie z ciekawością wspinały się na palcach, aby dokładnie przypatrzeć się tej zabawnej awanturze. Białe piaskowce piętrząc się ponad otaczającą je ciemną zieleń, trapiły więźnia swym zimnym martwym wzrokiem. Sam księżyc nawet spoglądał nań szyderczo, z ironją; tuż za nim dążyła świetna gwiazdeczka, służąca mu za pazia; gwiazdka ta aż tańczyła z radości tak zabawnym jej się wydał socjolog w opałach.

Pana Drommel oburzyła bezczelna i złośliwa ciekawość, jaką ośmieliły się objawiać romańskie skały i księżyc celtycki. Czuł, że nietykalny majestat socjologji niemieckiej obrażony został w jego osobie; pomyślał o armatach Kruppa, i wezwał na pomoc wielkie cesarstwo niemieckie i wszechmocnego kanclerza. Na nieszczęście, cesarstwo niemieckie zajęte było gdzieindziej. Wygwizdywało ono piosnkę myśliwską przygotowując do puszczenia swej sfory psów na coś czy na kogoś — wytężało wzrok aby dojrzeć co się dzieje w Petersburgu i nadstawiało ucha, aby podsłuchać co mówią w Wiedniu. Krótko mówiąc, pan Drommel próżno błagał o interwencję, cesarstwo niemieckie nie drgnęło nawet, a armaty Kruppa ani na krok nie ruszyły ze swych stanowisk.

Cierpienia fizyczne sprawiają niekiedy pożądaną dywersję w strapieniach moralnych. Prawdę mówiąc, panu Drommel nie było wcale zimno. Przypadek mieć chciał, że owa pierwsza noc październikowa prawie gorącą była; nadto, był on ciepło ubrany, pomijając już, że nic tak nie rozgrzewa człowieka jak gniew. Ale przymusowe i nieruchome położenie, w jakiem się znajdował, niezmiernie utrudniało zwykłą cyrkulację krwi; doznawał wskutek tego nieznośnych dreszczów, a nogi ścierpły mu już zupełnie. Opanowało nim przykre jakieś omdlenie. Nie był już panem swoich myśli, czuł jakby wszystkie znakomite teorje, które stanowiły jego dumę i któremi się tak słusznie pysznił, ulatniały się jedna za drugą, niby dym znikomy lub chmurka przelotna. W swej ogromnej królewskiej głowie znajdował już same tylko najgłupsze, najpospolitsze, najbardziej oklepane, najtrywialniejsze maksymy, jakie na każdym śmietniku znaleść można, a jakiemi do niedawna jeszcze w takiej pogardzie u niego zostawały. Pan Taconet musiał do pewnego stopnia mieć słuszność, twierdząc, że pospolitość jest podstawą życia, skoro p. Drommel mógł tracić czas na rozmyślanie nad podobnemi oklepanemi aforyzmami jak np.:

„Człowiek wtenczas tylko jest rzeczywiście wolny, kiedy może swobodnie poruszać rękami i nogami.

„Gdybym miał nogi wolne, użyłbym ich na ściganie moich pieniędzy i mojej żony, a gdybym mógł użyć mych rąk, przytrzymałbym niemi złodzieja.

„Genjusz jest rzeczą najbezużyteczniejszą na ziemi, skoro kto ma skrępowane ręce.

„Własność jest świętością; ci którzy zabierają cudze mienie, są zbrodniarzami.

„Skoro ma się żonę, ma się ją wyłącznie dla siebie.

„Wszyscy fałszywi książęta, zasługują co najmniej na ukrzyżowanie.

„W życiu zdarza się mnóstwo niemiłych wypadków; ale najgorszym ze wszystkich jest być przywiązanym do wielkiego drzewa. Gdy mówisz do niego, nie słyszy cię, bo głuche; gdy zapytujesz, nie odpowiada, bo jest nieme; z czego podobnem jest do przeznaczenia, które również jest głuche i nieme, i ani jednem słowem nie odpowiada na zadawane mu pytania."

Pan Drommel, jakkolwiek wcale nie romantyczny jak książę Malaserra, uczuł jednakże jakąś czczość w sercu. Wzrastający niepokój, ból dolegliwy dający się już uczuć w rękach i ramionach, dokuczały mu do żywego. Księżyc tymczasem schował się za szczyty gór i noc zapanowała zarówno w głowie socjologa jak w wąwozie Apremont. Na wpół odszedł od przytomności. I to było wielkiem szczęściem dla niego; nie potrzebował już bowiem liczyć uchodzących minut i godzin. W ten sposób czas daleko prędzej ubiegał.

Z brzaskiem dnia dopiero odzyskał przytomność, a świeżość poranku, rozpraszając senne mary, przywróciła mu należyty pogląd na rzeczy. Otworzył i podniósł oczy. Pierwszym przedmiotem jaki zobaczył była wiewiórka, która usiadłszy na najwyższej gałęzi poblizkiej sosny, i nakrywszy się swym ogonkiem, zwróciła nań ożywione swe oko, i z nietajoną przypatrywała mu się ciekawością. Wiewiórka, jak należy przypuszczać, nie widziała nigdy w życiu socjologa; spostrzegłszy go więc, rada była, że może zobaczyć jak to wygląda, choćby tylko dla tego żeby miała o czem mówić z sąsiadkami. Nasyciwszy swą ciekawość, skoczyła i znikła w gęstwinie.

Pan Drommel schylił głowę i spostrzegł tuż przed sobą, równo na wysokości oczu, coś takiego, co żywo zainteresowało i wzrok i umysł jego. Były to litery wycięte scyzorykiem na korze *Szaleńca;* kto temu nie wierzy, może się na miejscu przekonać, są tam one jeszcze dotąd. Litery te tworzyły następujący napis:

A. D.
H. L.
79.
SEMPRE.

Ten wyraz *sempre* rozjaśnił mu w głowie jak światło zapałki w ciemnym pokoju. Obejrzał się wkoło i sprawdził, że to miejsce, w którem się znajduje, to wielkie drzewo obumarłe, gościniec, ścieżkę niknącą wśród lasu, wszystko to już widział odmalowane. Ale gdzie? W owej maleńkiej prześlicznej akwarelli. Na akwarelli tej widział także kochanka klęczącego u stóp kochanki. Pan Drommel przypomniał sobie, że ta piękna kobieta była blondynką, że miała suknię słomkowo-żółtą i ponsową parasolkę. Przypomniał sobie, że wczoraj rano, gdy się przechadzał w pobliżu altanki, usłyszał malarza wołającego:

— Przyznaj pani, że głupiec z niego!

Jakiż dowód, że tym głupcem miał być pan Taconet?

Nieco później ten sam mały Lestoc mówił:

— Żądałem cztery, ale poprzestanę na trzech!

Czy to rzeczywiście była mowa o pieniądzach?

W tej chwili przyszło mu na myśl, że widzi kobietę, której na imię Ada, że kobieta ta jest wzruszoną, a na twarzy jej płonie rumieniec. Palący jad popłynął mu po żyłach, zazdrość schwyciła go za gardło i ścisnęła mocniej daleko, aniżeli szarfa księcia Malaserra, krępująca mu dłonie; zdawało mu się, że wszystkie cierpienia, przebyte w ciągu nocy, niczem są w porównaniu z tem, co cierpi od dwóch minut. Wszystkie wyzwane przezeń wspomnienia zebrały się i uporządkowały w jego głowie, z czego uwidoczniło się jak na dłoni, że siostrzeniec panny Doroty drwił sobie z niego, że szkoła pejzażystów jest szkołą libertynów, i że napis, jaki miał przed oczami, wyrażał ni mniej ni więcej:

„1. października 1879 r. Ada Drommel i Henryk Lestoc biorą to wielkie drzewo za świadka, że zawsze kochać się będą."

Dał się słyszeć odgłos kroków. Jakiś przechodzień, jak się zdaje, wybrawszy się ze wschodem słońca, na grzyby, ukazał się na gościńcu. Przechodzień ten, mający brwi niezwykłej wielkości, stanął nagle przejęty zdziwieniem, przyłożył obie ręce nad oczami, aby dokładniej widzieć, i rzeczywiście zobaczył grube drzewo i grubego człowieka, w najściślejszym z sobą zostających stosunku.

— Bogi miłosierne! — zawołał — co ja widzę? Ależ to uosobiona synteza, której nie brak ani interesu, ani nieprzewidywanych epizodów!...

A potem dodał:

— Wczoraj, jeśli mnie pamięć nie myli, dałeś mi kochany panie do zrozumienia, żem jest zbyteczny w towarzystwie. Czy i dziś mam się oddalić, czy też może zmieniłeś pan już swoje zdanie?

Żadnej odpowiedzi — i nie bez racji. Ekskomisarz policji zbliżył się, skonstatował powód milczenia i natychmiast uwolnił pana Drommel od niewygodnego knebla. A wówczas, wszystko co uzbierało się w sercu więźnia: gniew tłumiony, wściekłość bezsilna, niedopowiedziane przekleństwa, wszystko wydobyło się, wylało na zewnątrz; istny potok, lawina staczająca się ze szczytu lodowców.

— Łotry! zbrodniarze! pan ich znasz, ścigaj ich pan... Przeszło pięć tysięcy franków było w mojej sakiewce, dziś rano jeszcze je liczyłem... Telegrafuj pan, bo to fałszywy książę, podrobiony!... Nikczemnie oszukali mnie! Panna Dorota jest ulicznicą... szkoła pejzażystów, to stek hołoty... Pan wiesz, że ona ma

suknię słomkowo-żółtą i parasolkę, tak samo jak na akwarelli. Rozeszlij pan na wszystkie strony jej rysopis; nie może jeszcze być bardzo daleko, bo kuleje na jedną nogę... Mówiłem już panu, że jest zupełnie nowa... powiesiłem ją na szyi, na tasiemce, którą on przeciął scyzorykiem. Wszystko mi zabrali, wszystko mi skradli! Może w tym nędznym kraju zanjdują się przypadkiem jakie sądy, może istnieje jakieś prawo? Wasze lasy, to jaskinie łotrowskie. Będę to głosił, będę pisał o tem, cały świat się dowie. Nie wolno żartować sobie z takiego człowieka jak ja! a jak go chwycę za jego jasne wąsiki, wyrwę mu je po jednym włosku!... Nie wierz im pan ani jednego słowa z tego co powiedzą! Wszyscy oni kłamią jak *asinus*, a wstydu u nich tyle co u tancerki. Ja ich nauczę tańczyć!... Rozumiesz mnie pan? Ponsowa parasolka. Albo ten drugi, co sobie wyobrażał, że jest pięknym mężczyzną, ze swoją ciemną cerą i oliwnemi gajami! Gdyby tu była jaka policja, toby on już od dwudziestu lat kajdany nosił! Czyś pan na tyle łatwowierny, że wierzyłeś w jego oliwne gaje? W całej Sycylji nie znajdziesz jednego Malaserra ani na lekarstwo!... Do stu piorunów! czego pan czekasz jeszcze? czemu ich nie łapiesz? żądam aby ich natychmiast zamknąć do więzienia, oćwiczyć rózgami i powiesić!

Słowa biegły mu jak rwący potok, jedno za drugiem tłoczyły się i mieszały w ustach, które nie mogły podążyć za myślą i dotrzymać placu temu nawałowi. Wszystko się tam pomieszało: woreczek z pieniądzmi i żona, jasne wąsy malarza i czarna broda księcia Malaserra, panna Dorota i szkoła pejzażystów, złodzieje kieszonkowi i policja, sądy i więzienia, szubienica i świat cały. Pan Taconet tymczasem pracował nad odwiązaniem szarfy, a gdy skończył tę żmudną czynność, rzekł z cokolwiek szyderczym uśmiechem:

— I o co pan się skarzysz, wielki filozofie? Więc pan już nie wierzysz w skłonność doborową? Czego pan chcesz? pieniądze pańskie i pańska żona, są w obiegu, puszczone w kurs, czegoż panu więcej potrzeba? Nie trzeba znowu być takim grymaśnikiem.

Ale gdy ujrzał biednego socjologa, który mając już wolne ręce, zbladł, zachwiał się na nogach i o mało nie upadł, żal mu się go zrobiło. Podparł go, pomógł usiąść na murawie, dobył z kieszeni butelkę rumu i dał mu się z niej napić. Czyniąc to, porównywał się w myśli z dobrym Samarytaninem.

Rum magiczny wywołał skutek. W mgnieniu oka pan Drommel odzyskał siły i zwykłą żywość charakteru. Przedewszystkiem schwycił za gardło swego oswobodziciela, wołając:

— Pan jesteś komisarzem policji; pana robię odpowiedzialnym za wszystko!

— Mylisz się pan — odpowiedział pan Taconet — zwróć się pan do mojego następcy.

— Więc wszystko w tym kraju jest fałszywe! Tak samo komisarze policji jak i książęta!

— Byłem komisarzem, ale nim już nie jestem... Szczerze jednak mówiąc, jesteś pan dziwnie niekonsekwentnym. Jakkolwiek nie miałem żadnego dowodu, powziąłem pewne podejrzenia względem osobistości księcia Malaserra, którego fizjognomja niebardzo mi się podobała. Chciałem udzielić panu moich spostrzeżeń, ale pan wyprawiłeś mnie do djabła, a teraz chcesz mnie udusić... Zastanów się pan tylko... nie ma tu znowu nic tak strasznego... jak się panu wydaje... Pan Lestoc jest bardzo przyzwoity młodzieniec; niezdolnym on jest wykraść cudzą żonę i wziąść ją sobie na kark; pożycza on czasami, ale zawsze oddaje. Zaręczam, że pani Drommel się znajdzie. Jest to prawidło ogólne: zgubiona żona zawsze się znajduje. Co do pieniędzy, inna rzecz, za nie nie odpowiadam, ale gdybym mógł być panu w czemkolwiek użytecznym...

Pan Drommel nie pozwolił mu dokończyć. Był przekonany, że zwierza się ze swoich nieszczęść reprezentantowi prawa; zarumienił się ze wstydu dowiedziawszy się, że się wywnętrza przed pierwszym lepszym kapcanem, nazywającym się p. Taconet. Rzucił na niego spojrzenie pełne najwyższej wzgardy, i odrzucając podane sobie ramię, zwrócił swe kroki ku Barbison, z taką prawdziwie olimpijską powagą, że nawet ekskomisarz policji nie mógł go nie podziwiać.

Pan Taconet miał słuszność. Faktem jest, że pan Drommel niebawem odszukał żonę. Na pierwszym zakręcie drogi ujrzał ją biegnącą ku sobie. Spotkanie było tragiczne, ale zapewnienie jej uroczyste i niewinność przebijająca się w pięknych jej oczętach, bez trudu rozbroiły gniew mężowski. Zapewniła go, że wyjechała powozem o naznaczonej godzinie, przez długi czas czekała w wąwozie Apremont, a nie doczekawszy się, pojechała dalej w nadziei, że spotkają się w drodze. Przybywszy do Franchard, zastała tam już Lestoc'a, którego też natychmiast wyprawiła, aby odszukał jej drogiego Johana, podczas gdy sama gryzła się i trapiła obawą, czy nie było jakiego wypadku nieszczęśliwego.

W tej chwili nadszedł mały Lestoc i słowo w słowo powyższą historję powtórzył. Co zaś zagadkowego na pniu wyciętego w korze *Szaleńca*, zwrócił uwagę pana Drommel, że w życiu ludzkiem zdarza się częstokroć jeszcze dziwniejszy zbieg okoliczności, a przecież żaden umysł wyższy nie bierze ztąd pochopu do jakichś niestosownych domysłów.

Pan Drommel badał jeszcze pod sekretem stangreta, który z dziwną dokładnością stwierdzał swojem opowiadaniem powyższe dwa zeznania. Prawda, że miał przytem jakąś szyderczą minę; ale w Fontainebleau wszyscy stangreci słynni są z filuterji, okoliczność więc ta niczego nie dowodzi.

Również nie należy przykładać żadnej wiary do opowieści jakiegoś podejrzanego węglarza, który spotkał panią Drommel gdy dojeżdżała do Franchard; a który nie waha się utrzymywać, że nie jechała sama, bo na własne oczy widział obok niej w powozie młodego mężczyznę. Cóżby się stało z opinją kobiet i dobrą ich sławą, gdyby ludzie wierzyli na słowo pierwszemu lepszemu węglarzowi!

Pan Drommel przyjął wszystko z najlepszej strony; wyrzekł się swych zuchwałych podejrzeń i stanowczo uwierzył w niewinność szkoły pejzażystów. Mały Lestoc tem więcej jeszcze zjednał sobie jego względy, dopomaganiem mu we wszystkich bezużytecznych poszukiwaniach skradzionych pieniędzy, a szczególniej pożyczeniem mu pięciu tysięcy franków, na nader wygodnych warunkach spłaty. W końcu pan Drommel tak sobie upodobał artystę, że zaproponował, aby razem, we troje, zrobili wycieczkę do Włoch. Młody człowiek ma obecnie ważne sprawy do załatwienia w Paryżu, ale przyrzekł, że przyjedzie do nich do Wenecji. Pani Drommel uśmiechnęła się do niego przy pożegnaniu, uśmiechem powita go w miesiącu lutym, dalej i wiosna wmiesza się w tę sprawę.. Honni soit qui mal y pense!

Opowiadają, że pewien zapalony komunista, domagający się w swych pismach równości majątków, odziedziczył niespodziewanie sześćdziesiąt tysięcy franków. Nie tracąc czasu, ogłosił drugie wydanie swej książki, w której, po głębszej rozwadze, wykazuje, że właściwszem i bardziej ludzkiem będzie dzielenie majątków nie wszystkich w ogóle, ale tych tylko, od których dochód wynosi więcej nad trzy tysiące. Pan Drommel nie popełni nigdy tak zdrożnej niekonsekwencji. Ograniczył się tylko na umieszczeniu w *Świetle* artykułu, w którym wziął za zadanie jasno wyłożyć, że tylko rząd jedynie ma prawo puszczania w obieg pieniędzy, i że w społeczeństwie przyszłości tak samo jak dzisiaj złodzieje będą osadzani w więzieniu, doradza nawet, aby od czasu do czasu nie żałowano dla nich bastrunady.

Obecnie drukuje wrażenia ze swej podróży. W przedmowie do tego dzieła oświadcza, że wszystko zważywszy, Francja nie jest krajem tak zepsutym, jak utrzymują, że nietrudno spotkać w niej utalentowanych i nader uprzejmych artystów, ale w zamian za to, oberżyści i komisarze policji francuskiej, czy to w czynnej służbie zostający czy dymisjonowani, to obrzydliwe bałwany, którym godziłoby się porządnie natrzeć uszu, aby ich nauczyć, jakim szacunkiem winny być przejęte rasy podrzędne dla ras wyższych.

— Cierpliwości! — mówi na to pan Taconet.

Przełożył A. Kleczewski.

KONIEC.

KORESPONDENCJE.

Kraków w Maju 1880 r.

Pisząc z Krakowa, w czasie pozbawionym tak wszelkiego żywszego ruchu i życia — o czem pisać, jeźli nie o sztuce. Kraków w istocie od pewnego czasu i coraz więcej staje się ogniskiem sztuki, rodzimej, swojskiej — mimo to wielkiej i uznanej już na szerokim świecie. Daleko więcej ma do tego istotnych warunków i zasług położonych, niżeli do pretensjonalnie niekiedy przyznawanej sobie roli, przewodniczenia umysłowego i politycznego narodowi. Malarstwo wśród sztuk prym tu, jak wiadomo, trzyma. Podziwiać istotnie należy, tę żywotność, ten zapał i uzdolnienie — może nazbyt jednostronne, może nieco denerwujące ducha, wyczerpujące męzkie siły narodu — ale bądź co bądź, manifestujące siły ukryte, potencjalne, zdolności, których Opatrzność nam nie skąpi, idzie o to tylko, aby były umiejętnie, z miarą kierowane i wyzyskane w celach użytku ogólnego, współudziału duchowego naszego narodu, w rozwoju wszystkich władz, wszystkich uzdolnień i aspiracji, do jakiego każda cywilizacja wielka, niespożyta dążyć winna. Obok wielkiego naszego mistrza i zarazem dyrektora miejscowej szkoły sz. p., mamy sympatycznego Kossaka, którego nikt w swojskiej, typowej fantazji i uchwyceniu natury i piękności konia nie przewyższy. Profesorowie: Löffler, tak ceniony u nas i w Wiedniu, Jabłoński, Szynalewski, znakomity rysownik, Gadomski rzeźbiarz, przewodniczą młodzi, rokującej

nie małe nadzieje. Obok młodsza generacja, niemal dopiero co wyszła z *majsterszuli*, a tak zasłużonego rozgłosu już używająca: Pruszkowski, twórca *Rusałek*, *Anhellego*, *Madeja*, i in., talent pierwszorzędny, wrodzony — dusza na wskróś poetyczna, może nazbyt oryginalna i szukająca jeszcze dróg, któremiby potężna jego indywidualność godnie zamanifestować się mogła — Słowacki pendzla — bodajby tylko uniknął tych szkopułów, wahania ciągłego, i tego końcowego rozczarowania, które pierwszego tak wysoce cechowały; Lipiński, który z dokładnością i drobiazgowem wykończeniem flamandzkiej szkoły w scenach rodzajowych, łączy zdolność nieodżałowanego niemal Gryglewskiego, w malowaniu architektury, fasad i zaułków średniowiecznych budowli. Znane i tak cenione jego prace: *Targ na Szczepańskim placu*, *sprzedaż jarzyn*, *Scena z niedźwiedziem*, wyszły bezpowrotnie do Wiednia, znajdywały w kraju dużo wielbicieli... ale ani jednego amatora — kupca. Czyż taki sam los czeka dwie kolosalne kompozycje, prawie na ukończeniu, któreśmy w pracowni oglądali, a wykonane z maestrją niezrównaną: *Konika Zwierzynieckiego* — obrazu rodzajowego, któremu tylko *Kermas* Rubensa z galerji Luwru, przeciwstawić w pamięci możemy — i *Procesję Bożego Ciała*? Nie daj Boże! Smutnie by to świadczyło o naszych magnatach-mecenasach..., którzy bankierom warszawskim mają za złe, że wykupują arcydzieła naszej sztuki. Trzecie miejsce, zdaniem naszem, należy się Benedyktowiczowi, ofierze ostatniego powstania — łączącemu prawdziwe pojęcie natury, z pojęciem wyższem zadań i celów sztuki; estetycznie jak mało wykształconemu. Do tej grupy należy także Gramatyka, którego *Długosz* tak słusznie ceniony. Ajdukiewicz, utalentowany malarz scen wojskowych, a zarazem znakomity portrecista, jak to portret p. S. i mniej już nieco świeży portret Modrzejewskiej świadczą, — Koniuszko, malarz efektownych scen nocnych na Kaźmierzu i cmentarzach żydowskich — Mroczkowski, pejzażysta, jeszcze do młodszej należą generacji. Wiele obiecujący p. Żmurko, twórca *Kleopatry*, oraz Malczewski, który niewiadomo dla czego wdzięczny swój talent do idealnych, poetycznych kompozycji, dobrowolnie rozbija i gubi w produkowaniu zbyt realnych i *à la* Courbet pojętych piękności wiejskich — należą jeszcze do *majsterszuli* mistrza Matejki. Niestety wcielonego Urjela Acosty, filozofa-marzyciela — Gottlieba, który w niedokończonym, a tak głęboko pojętym *Chrystusie w Synagodze*, realnie i moralnie cały się odzwierciedlił — nie możemy już zaliczyć do tej *mistrzowskiej* szkoły.

Produkcyjność ta na polu sztuki, nie jednego już korcić zaczyna; radziby niektórzy, przyznający sobie sami ster nawy społecznej, z parnasu sztuk wyzwolonych ściągnąć zdolniejsze i mniej zdolne umysły, do realniejszych celów i zajęć — do warsztatów np. sztuk niewyzwolonych. Potrzeby dnia codziennego, zaprawdę, u nas są wielkie — nie wolno nam bankrutom wszelkiego rodzaju, zużywać sił na cele nieproduktywne i nieokreślone. Ale czyż sztuka jest naprawdę nieproduktywną — takim zbytecznym luksusem? Czyż kraj w pełni rozwoju i mający pretensje pewne, do uczestniczenia w cywilizacji na równi z Zachodem, może bez niej obejść się zupełnie?! A z drugiej strony, czyż nie zapewnia ona takiemu Alma Tademie lordowskiej fortuny i wszelkich szlachetnych wygód i przyjemności życia? Francja i jej ustawiczne sprzedaże artystyczne, świadczą, jakie miliony są tam ustawicznie w obrocie w sferach artystów i amatorów sztuki. Czyż nawet nasz Brandt, M. Gierymski nieboszczyk i Chełmoński nie służą za dowód, że i kraj nasz może produkować na eksport coś więcej niżeli pszenicę? Czyż jest przytem jaka recepta na produkowanie tylu a tylu rzemieślników, włodarzów, inżynierów etc. etc., a mniej za to uprawiających teorję nauki, lub sztukę dla sztuki? Darwinizm nawet krańcowy nie pokusił się nawet o podobnie paradoksalne teorje. Przesadni ci pozytywiści wysokich sfer, którzyby hamulec chcieli nałożyć na myśl i talent, którzy ignorują z zasady sztukę krajową jak i literaturę ojczystą, z racji, aby nie dawać zachęty „proletarjatowi umysłowemu" — zdają się zapominać, że niekoniecznie zdolny malarz mógłby być renomowanym szewcem np., a i ci zresztą muszą walczyć także nieraz ciężko o byt. Tam zresztą, gdzie są tacy Matejkowie, Siemiradzcy, Brandtowie, musi nieodzownie być cała falanga bardziej lub mniej utalentowanych, niższego rzędu — którzy jednakowoż mają również prawo do bytu i do uznania. Tylko cykl taki jak włoskiej renesansy, jak odrodzenia francuskiego po w. Rewolucji, zdolny jest wydać wielkich mistrzów. To samo powtarza się w poezji i literaturze. Naród nasz zdobył się na cykl poetów, któremu mało równych w świecie nowożytnym; czemuż gdy arfa eolska poezji naszej zamilkła może bezpowrotnie, nie mamy na przekór zwolennikom *realnych procederów*, wydać cyklu malarzy, rzeźbiarzy etc., którzyby nietylko platoniczne uznanie własnych rodaków, ale i hojne pieniądze zagranicy zyskiwali. Wprawdzie, po części, miał słuszność wymowny prelegent, który niedawno *ex catedra* twierdził, że szabla winna iść przed piórem, a zatem i pendzlem, że lepiej byłoby, abyśmy mieli jednego hetmana więcej, jedną walną (zapewne stanowczą?) bitwę wygraną, np. podczas rewolucji z 30 r., niżli samego Mickiewicza... ale jeśli losy stanowczo odmówiły nam tej *jednej* ale *decydującej* wygranej, czyż mamy się skarżyć, że chociaż nie pożałowały nam tego wielkiego pieśniarza, który na stosie ruin i trupów zanucił nam *Redutę Ordona* — który więcej dla narodu, języka, ducha całej rasy zdziałał, trwalsze pomniki po sobie zostawił, niżeli setki wojewodów, kasztelanów, przemożnych oligarchów, i co niezbyt daleko od siebie odbiega, rokoszanów, renegatów wszelkiego autoramentu.

Kraków, jak mówiliśmy, ma wszelkie warunki stania się wielkiem ogniskiem sztuki narodowej, i odegrania tej samej roli u nas, co Düsseldorf i Monachium w Niemczech. Jest szkoła, która, należy nie wątpić, rozwijać się będzie, i może się stać kiedyś Akademją; na jej czele stoi geniusz artysta, który jest niezaprzeczenie najwyższym wyrazem sztuki narodowej. Jest tylu utalentowanych młodych ludzi, którzy posiadają owy święty dreszcz sztuki i radziby w tym albo w innych kierunkach, ale iść zawsze śladem wytrwałości, pracy i zamiłowania rzeczy ojczystych swego mistrza. Są pomniki i pamiątki narodowe, zbiory muzealne. Tak! — ale dotychczas brak jednej najważniejszej rzeczy: społeczeństwa do tego przygotowanego, stosownie uzdolnionego i dobrej woli będącego. Gdy w Düsseldorfie, Monachium, wszystko jest zrobione i obrachowane dla poparcia sztuki, dla podtrzymania i wzbudzenia *życia artystycznego* — tu każdego zrazić zaraz musi: lodowaty chłód, obojętność — co więcej, ignorowanie z zasady. Tam Niemcy rozumieją, że zaszczytem kraju całego i kwestją egzystencji ekonomicznej miast tych, są owe kolonje artystyczne; w imię tych interesów, ginie nawet uczucie zawiści i niechęci narodowej — obcego artystę przyjmują jak krajowca, otaczają go uznaniem, czcią niemal, i co więcej, dostatkiem: świadkiem Brandt, Gierymski nieboszczyk, Tu źle zrozumiany interes własny, brak poczucia obywatelskiego, każe traktować artystów, uczonych i literatów jako niebezpieczny proletarjat, jako zbieraninę *la bohême*, tolerowaną zaledwo przez policję i społeczeństwo. Gdybyż to tylko małomieszczanin, *simplex servus Dei*, wiedział zaledwo o Matejce, o miejscowych prastarych pomnikach sztuki, a nie poczuwał się wcale do obowiązków popierania żadnych interesów sztuki dzisiejszej — rzeczby do pewnego względu była wytłumaczoną. Ale złe jest doniośléjsze. Tu domy patrycjatu miejskiego i szlacheckiego są szczelnie zamknięte przed takimi hołyszami, za jakich zwykle biorą artystów, literatów i uczonych. Trudno! — potrzeb duchowych widocznie nie mają, a nie są dość oczytani nawet w Paprockim, Okólskim i Niesieckim, aby wiedzieć, że klejnot szlachecki czystszy, świetniejszy i świeciej dochowany, kryje się dziś częściej u ludzi pracy i talentu, niżeli wśród sztucznej kosmopolitycznej, a nie narodowej arystokracji. Podwoje te wprawdzie otwierają się dla takiego Dyrektora Matejki, dla Prezesa lub Sekretarza Akad. Umiej. — robi się to tylko przez próżność i chęć zjednania sobie ludzi w każdym razie wpływowych i odznaczonych. Wyjątek jednakże nie zaprzecza reguły. Potrzeby, mówimy, zbliżenia się z życiem artystycznem, naukowem, poznania potrzeb i warunków tegoż życia, nie ma, i nikomu ona nawet na myśl nie przyjdzie. Wprawdzie jest dom zacny, możny gdzie podobno w małem kółku, od czasu do czasu odbywają się produkcje muzyczne, w których utalentowana gospodyni bierze udział — ale współudział w biesiadach tych artystycznych dostępny tylko dla wybranych z tytułami, godnościami, lub pseudo-rodowemi kwalifikacjami. Co dziwniejsza, znamy dom, w którym mają miejsca niby zebrania artystyczno-naukowo-literackie, ale nigdy nikt tam nie widział żadnego prawdziwego artysty, a chyba nader rzadko, przypadkowo, literata lub uczonego, i to mocno atmosferą domu przesiąkniętego. Cóż dziwić się, zdarzają się też wielcy estetycy i pretensjonalni mecenasowie sztuki, którzy nigdy w życiu nie zajrzeli do pracowni artysty.

Jak źle zrozumiane są u nas cele i zadania sztuki, świadczyć może to, że kiedy przed półtorarokiem stanął projekt *Muzeum Narodowego na Wawelu*, a dzięki wspaniałomyślnej ofierze H. Siemiradzkiego i innych artystów zebranych na jubileusz Kraszewskiego, zmienił się przynajmniej w pewnej części w fakt spełniony, osoby należące do najbardziej wpływowych sfer, z zasady temu przeciwne, dokładały wszelkich starań, aby projekt uniemożebnić i w zawiązku zwichnąć, a przynajmniej, w ostateczności, opóźnić jego organizację, i przykuwszy do Sukiennic, tem samem uniemożebnić wszelki dalszy jego rozwój. Dotychczas sprawa ta jest w zawieszeniu — a trzeba przyznać, nie za-

łowano w tem ani gorliwości, ani najbardziej śmiesznej i sofistycznej argumentacji.

Łatwo więc wnioskować, że w tych warunkach, przy znanej przytem nieporadności, a może więcej jeszcze wybujałej drażliwości artystów, nie ma żadnego życia artystycznego, zarówno jak i literackiego w Krakowie. A jednakże sztuka jest kwiatem, który tylko starannie pielęgnowany wśród owych rozkosznych rajów ziemskich: rozwiniętego, wyrafinowanego i wydelikatnionego życia towarzyskiego, wyrastać do właściwych rozmiarów i dojrzałości dochodzić może. Wyrafinowane tylko życie towarzyskie XV. i XVI, stulecia, mogło wydać sztukę odrodzenia. Salon francuski, niestety także już razem z sztuką idący *en décadence,* może tylko kształcić tę falangę bystrych i pomysłowych mistrzów techniki artystycznej, albo niezrównanych pod względem stylu, formy i miary we wszystkiem, literatów paryskich. Największą zasługą obywatelską dla zapewnienia rozwoju i doniosłości miasta Krakowa, położył by ten, ktoby potrafił skoncentrować rozpierzchłe siły i materjały, skrzesać z nich życie artystyczne i literackie, wytworzyć tę atmosferę, w której by sztuka jak i *les belles lettres,* siły, życie i rozwój normalny czerpały. Sami artyści i literaci rozumiejąc własny interes i należne im s t a n o w i s k o s p o ł e c z n e, winni, przechodząc do porządku nad wszelkiemi drażliwościami osobistemi, mianowicie zaś uprzedzeniami stronniczemi, które nic z sztuką ani literaturą wspólnego mieć nie powinny — skojarzyć się i wytworzyć w braku mecenasów, sami z siebie to życie i tę atmosferę. Zdrowsza i jędrniejsza część społeczności niezawodnie przyklaśnie i zsolidaryzuje się z nimi.

Lecz wróćmy do naszego ściślejszego przedmiotu. Ważnym i najgłówniejszym ewenementem obecnej chwili w świecie artystycznym i dyletanckim Krakowa, jest przybycie na wystawę zach. sztuk p. obrazu Siemiradzkiego: *Tańca wśród mieczów.* Łaskawy czytelnik, czy też nadobna czytelniczka, połknęli prawdopodobnie z jakie półtuzina apologów i sprawozdań o tym obrazie — krytyki poważnej, wyczerpującej, przynajmniej jak nam, nie zdarzyło się czytać. Cała skala barw i tonacyj, cały arsenał wykrzykników i emfatycznych frazesów zostały wyczerpane na odmalowanie wrażeń doznanych na widok tego w każdym razie znakomitego utworu. Gens krytyczna rozdziela się u nas niestety na trzy kategorje: Tych, którzy przez stosunki, znajomości i życzliwości piszą bezwzględne reklamy, którzy w każdym najmniejszym utworze są zdolni dopatrzeć zalet przewyższających a przynajmniej dorównywających Rubensom, Vandykom — a gdzie porównania z Rafaelem, Michałem Aniołem i t. p., nie należą także do rzadkości. Krytyka ta nie zrazi wprawdzie nikogo, ale też i nikogo nie wykształci, nie sprowadzi na właściwe mu tory i kierunki. Literatura ta szczególniej kwitnie w dziennikach warszawskich. Drudzy chorują na *spleen,* który im nic dodatniego w społeczeństwie naszem widzieć nie dozwala — których odrazu uderza plama, wada, a nieczuli są na wszelkie zalety, na piękno samo. Krytyk nie piszą, bo i to jest znikomością, drobnostką nie wartą fatygi, a przytem wymagającą pewnej odwagi cywilnej; ale za to poufnie, w pogawędce między znajomymi odrą najzdolniejszego, najgienialniejszego nawet artystę z całego uroku, zainteresowania jakie w społeczeństwie wzbudzić by mógł. Tych desperujący pessymizm jest najszkodliwszy rozwojowi sztuki. — Trzeci, estetycy z profeji, którzy dla wygłoszenia szumno brzmiących tyrad i aforyzmów nie potrzebują nawet widzieć dzieła sztuki — jeśliby nawet im krótki wzrok np. lub ślepota duchowa widzieć go dozwalały. Mają przygotowany aparat i formuły — od wszelkiego zdarzenia; przestawiają tylko jak się zdarzy wyrażenia: tonacja, karnacja, modelowanie, rysunek, skurcze, światło cienia etc., dodając przymiotniki we wszystkich trzech stopniach. — Ponieważ nie należymy do krytyków z profesji, łaskawy czytelnik wybaczy, jeśli wyrazimy tu tylko nasze osobiste wrażenie i zdanie, nie wchodząc w meritum rzeczy. Nie będziemy się także obawiać, aby sława zasłużona takiego Siemiradzkiego ucierpiała co na tem, jeśli nie ograniczając się tylko na szumnym apologu, podniesiemy niektóre cienie, choćby dla uwydatnienia lepszego promieniejących świateł.

Taniec wśród mieczów, nie należy zdaniem przynajmniej naszem, do najlepszych kreacyj mistrza. Nie wyjmując nawet słynnych *Świeczników chrześcijaństwa,* Siemiradzki nie przewyższył, a może i niedorównał nigdzie pierwszemu swemu większemu dziełu: *Jawnogrzesznicy.* — Pejzaż jest przepyszny tak pod względem układu jak i wykonania — strona ta talentu Siemiradzkiego coraz więcej uwydatnia się. Akcesorja wykonane z maestrją niezrównaną: marmurów, tych basenów wodnych z kwiatami i pnącemi się pasożytami roślinnemi, nikt dostatecznie opisać nie zdoła. Trzeba to widzieć. Mniej nas zato zachwyca efekt przedzierającego się przez roślinność słońca — jakkolwiek żywcem tu podpatrzona natura. Rozstrzeliwa to ogromnie ogólne wrażenie — odejmuje ten spokój i powagę wymaganą od skończonych dzieł artystycznych. Pas przytem żółty pawilonu ogrodowego, w tem oświetleniu migocącem, razi nas swoją jaskrawością. Samo słońce to nie grzeje — nie czuć w obrazie żaru słonecznego południowych krajobrazów. — Figura tancerki z tyłu widzianej poprawna pod każdym względem; tors i uda szczególnie dobrze modelowane, mniej zato ręce, a szczególniej lewa w skurczu widziana, wadliwa. Karnacja, wolelibyśmy aby była cokolwiek cieplejsza. Główka jednej z towarzyszek (grającej na flecie) wypieszczona jak kamea starożytna — inne mniej wykończone. Co zaś do figur męzkich drugiego i trzeciego planu, traktowane są szkicowo, jedna mianowicie podparta na stole, razi brakiem wykończenia, karykaturalnością rysów; również wadliwe jest rysowanie się głowy osoby stojącej w tyle, na prost tancerki: o kilka kroków trudno zrozumieć na czem głowa ta jest osadzoną.

Czy wadą jest Siemiradzkiego niewykończenie a nawet zbyt lekceważące traktowanie figur drugiego i trzeciego planu — czy też mimowolną artystyczną lub szukanym efektem, powiedzieć tego nie podejmujemy się. Niektóre postacie *Świeczników Chrześcijańskich,* jak gladjatora i jego towarzyszki, jednej z bachantek pierwszego planu, postać samej tancerki obecnego obrazu, zdają się dostatecznie dowodzić, że artysta umie jak chce wykończyć swoje postacie; dlaczego z urokiem dorównanym chyba przez tak poblizkiego mu duchem Alma Tademy: pejzażu, architektury, akcesoryj — nie łączy wykończenia figur tego ostatniego...?

Great attraction także obecnej wystawy Towarz. zach. sz. p. stanowi wspomniany wyżej portret p. Modrzejewskiej, przez Adjukiewicza, ofiarowany do muzeum Narodowego. Przyznajemy, że banalne i aż nazbyt wytrybowane pochwały tego portretu, jakieśmy czytali, usposobiły nas początkowo niekorzystnie. Ale za widzeniem doznaliśmy przyjemnego uczucia niespodzianki. Cały portret trzymany w tonie bardzo przyjemnym, harmonijnym; piękność tła gobelinowego, od którego jednakowoż figura doskonale odchodzi, nadaje obrazowi cechę ładnej kompozycji. Zato rysunek w wielu względach wadliwy: nie czuć pod tą wspaniałą suknią z białego atłasu złotem tkaną kształtów ludzkich; figura sama źle ułożona, w piersiach nieczuć jędrnego i kształtnego ciała. Główka zbyt maleńka proporcjonalnie do figury, która przez odrzucenie długiego ogona sukni naprzód, wyższą się wydaje, niżeli naturalna wielkość. Co do podobieństwa słynnej artystki, zdania są podzielone. Nie zrobimy jednakże zarzutu artyście z tego, jeśli niewolniczo nie trzyma się modelu i wszystkich piegów, jeśli są jakie, nie uwydatni. Wolno artyście uidealizować, odmłodzić choćby nieco swój model. Główka nader artystycznie uczesana — piękne czarne oczy widocznie powiększone, zachowują jednakże wyraz artystki, i w ogóle, cały tak zwany wdzięk jej rozlany na twarzy. Zarzucilibyśmy tylko, że karnacja jest nazbyt blado-różowa, porcelanowa — tonów żółtych zupełnie w niej brak. Wracając do figury, ręce, szczególniej prawa, karykaturalnie małe i źle narysowane. Co do wykończenia tualety, akcesoryj, są partje bardzo szczęśliwe, jak np. przepięcie i fałdowanie się atłasu z tyłu sukni; mnóstwo tam refleksów tak naturalnych atłasowi; zato ogon sukni na przodzie obrazu źle ułożony i jakby ołowiany. Same draperje, kwiaty i inne drobnostki dostatecznie wykończone, a nader artystycznego układu. — Ale omal nie pominęliśmy, już dziś historycznego psa, który tak przypomina scenę z życia Apellesa czy Zeuksisa. W istocie, z wyjątkiem przednich łap, może nieco nazbyt grubych, prześlicznie odmalowany. Całość, jak mówiliśmy, pomijając wadliwe szczegóły, nader przyjemne robi wrażenie — należy, jeśli ograniczyć się zechcemy na miejscowych wystawach portretów kobiecych, a nie będziemy szukać porównań u niedościgłych niemal portrecistów tegoczesnej szkoły francuskiej, takich pp. Bonnat, Cabanel, Carolus Duran, Dubuffe. Chaplain, Collin etc. — do najlepszych kreacyj tego rodzaju.

Mistrz Matejko, w genialnych rysach i z błyskawiczną niemal szybkością wykończa obraz kolosalnej wielkości a pierwszorzędnego znaczenia tak pod względem historycznym jak i kompozycji. *Hołdu Pruskiego.* Zbyt niedyskretnem byłoby już teraz robić nad nim uwagi, daje nam to jednakże sposobność, do przeskoczenia do innej branszy sztuk wyzwolonych, zbyt często w sprawozdaniach zaniedbywanej, a która jest niezaprzeczenie macierzą i podstawą wszelkiej sztuki plastycznej — architektury.

Pomniki budowlane i zabytki archeologiczne stanowią, jak wiadomo, cały urok Krakowa, całą rację jego bytu — zapewniają mu dobrobyt i stanowisko w rzędzie miast dawnej Rzptej. Konserwować i chronić je od wandalskich ataków jest nietylko obowiązkiem poszanowania sztuki, dobrze zrozumianej ekonomji miasta, ale przedewszystkiem rzeczą sumienia narodowego.

W pomnikach tych, jak w kronice kamiennej spisane są dzieje naszej przeszłości. One to jedne zdolne natchnąć i wydać mężów o fidiaszowej piersi, którzy czy to piórem czy to pędzlem przywołują do życia świetne przodków czyny, opromieniają aureolą ideałów naszą zamarłą przeszłość. Nie społeczeństwo to, nie atmosfera artystyczna, której brak zupełny — ale pomniki i zabytki Krakowa wydały Matejkę. Wawel i Kościół Marjacki, to jego szkoła — Wit Stwosz — jego prekursoren.

Scena *Hołdu Pruskiego,* odbywała się jak wiadomo na Rynku, obok dawnego ratusza, a dziś jedynem jego wspomnieniem jak i wiekopomnego owego faktu historycznego, jest pozostała po nim wieża. W obec odbudowanych Sukiennic i tak starannie oczyszczonego rynku ze wszystkich szpetnych budowli i późniejszych przydatków — nasuwałaby się sama myśl, że i piękna laskowana wieża ratusza żąda restauracji i obmyślenia sposobów przywrócenia jej jakiejś właściwszej fizjognomji i jakiejś racji bytu. Essenwein, znakomity architekt i archeolog niemiecki, który więcej zrobił dla pomników Krakowa, niżeli wszyscy razem nasi uczeni, w pomnikowem swojem dziele: *Kunstdenkmälär der Stadt Krakau* dał plan odrestaurowanego, maleńkiego pierwotnego ratusza w stylu XV. w., który jest arcydziełem swojego rodzaju i byłby, wprowadzony w czyn, jednym z najcenniejszych klejnotów dawnego budownictwa polskiego. Koszt niebyłby zbyt wielki, nie przechodziłby w każdym razie możności miasta dbającego o swoją godność i zachowanie własnych pomników. Projekt ten restauracji był przed rokiem podniesiony w *Dwutygodniku naukowym* Tymczasem w miejce tego projektu — niewiadomo czemu to przypisać, bezmyślności czy też złej woli — stanął inny: obudowanie wieży małym, mniej jak parterowym odwachem, z dodaniem mikroskopijnej baszty, tak harmonizującej z olbrzymią wieżą i innemi okazałemi pomnikami budowlanemi rynku, przepraszając za wyrażenie, jak brodawka z nosem — a miejsce uświetnione tyloma wypadkami pierwszorzędnej doniosłości, miejsce rady dawnych edylów miasta, postanowiono oddać na areszta wojskowe. Zaprawdę, ironja to chyba losu, że dwa miejsca tą samą sceną hołdu pruskiego uświetnione w tak dziwny sposób mają być upamiętnione. W Toruniu gdzie w dawnym Artushofie odbywały stany pruskie swoje posiedzenia, gdzie zawierano układy, i królowie nasi odbierali hołdy, stanęła nie bez pewnej może ukrytej myśli — scena teatru niemieckiego. W Krakowie mamyż dobrowolnie zniszczyć nawet możność przywrócenia kiedykolwiek wśród przyjaźniejszych okoliczności, pierwotnej postaci pięknej wieży i okrążającego ją gmachu?! To zaś, co przed niedawnym czasem z wielkim kosztem i staraniem usunięto po lewej stronie Sukiennic, przywracać w daleko gorszej formie po prawej? Zaprawdę, lepiej było zostawić dawny odwach na swojem miejscu, jeśli miasto posiadając własną kamienicę w Rynku, nie zechce tam przybudować zewnętrznej galerji i ulokować odwachu. Mamy jedynie jeszcze nadzieję w energji prezydenta m. dra Zyblikiewicza i jego znanem poszanowaniu tak starożytnych pomników, jak i jasno wyrażonej, przez kompetentnych ludzi opinji publicznej, — że podobnego wandalizmu nie dozwoli dokonać na wieży ratuszowej. W każdym razie, obowiązkiem zdaje się być c. k. Konserwatora zabytków, położyć swoje weto choćby nie miało skutkować, a tem samem zrzucić z siebie odpowiedzialność przed cywilizowaną częścią społeczności i potomnością, za oszpecenie jednego z najpiękniejszych pomników budownictwa polskiego. Szkoda bowiem byłoby, aby tak pożyteczna instytucja jak konserwatorstwo, była u nas czysto tytularną.

Co zaś do przekształceń dowolnych okien frontowych Zamku, które prasa lwowska pornszyła przed niedawnem, to i ileśmy zasięgnąć zdołali wiadomości, tak w tej sprawie, jak i od paru lat pękniętej od góry do dołu jednej baszty i pokrycia gontowego części Zamku, które grozi zupełne spłonięciem zamku i katedry na wypadek ognia — ani p. konserwator, ani policja budownicza miejska nie zrobiła dotychczas żadnych kroków do władz właściwych.

Bożydar N.

NA PUSTYNI.

Gwiazdy, które z pustyni wyrosły po zmroku,
Wzniosły się nad mą głowę, nad nią sieją blaski;
Straszne wy starej próżni i milczenia piaski, (*)
Straszne opuszczonemu od snu memu oku!

Ktoś ty? i po coś przyszedł pustyni proroku,
Źrenice me uderzać potęgą twej laski,
Wyrywać łez tych zdroje co wsiąkają — w piaski?
Nie ma nawet szarańczy, by z ich pić potoku!

A jednak, o łzy moje, płyńcie mi strumieniem;
Na ich kroplach zawiesza gwiazda się promieniem,
I płynie w duszę moją pełnem czaru drżeniem.

Czyja dusza, z daleka, gwiazd mlecznemi drogi,
Do łez mych idzie, dać mi nektar błogi?
Pasterka weszła... dalej, wielbłądy! na nogi!!

1861. na wielkiej syryjskiej pustyni

Karol Brzozowski.

DZIWNE KARJERY
POWIEŚĆ
Jana Lama.

(Ciąg dalszy.)

TOM II.

ROZDZIAŁ IX.

(Który składa się z dwóch poświęceń, w ogólnej sumie 54.000 idealników, z dodatkiem pięknej panny.)

Kto widział salon państwa Śmiechowskich wówczas, gdy mieliśmy przyjemność oglądać go po raz pierwszy, nie poznałby go obecnie. Wszystko w nim, że tak powiem, »lśniło się i pachnęło porządkiem« i elegancją. To samo można było powiedzieć o przedpokoju, o pokoju jadalnym, o pokoju p. Władysława, a gdyby dyskrecja nie zabraniała nam zaglądać do innych apartamentów, przekonalibyśmy się, że nie było w całym domu jednego zakątka, do któregoby nie można dopuścić badawczego i krytycznego oka najwielomowniejszej sąsiadki. Na razie atoli zostaniemy w salonie, w którym bujne i dobrze utrzymane kwiaty i rośliny egzotyczne tworzyły — przy pomocy kaflowego pieca, sztuczną wiosnę, podczas gdy na dworze świstał wiatr listopadowy i bił mokrym śniegiem w szyby. Zawieszone u sufitu dwie lampy oświetlały środek pokoju, zostawiając resztę w półcieniu. Środek ten zajmowały dwie wygodne kanapy, umieszczone po obu dłuższych bokach dużego stołu, zapełnionego przyborami do herbaty, którą zwiastował zresztą już z daleka tak miły w jesieni i zimie szum samowaru, umieszczonego gdzieś w kąciku koło pieca, jakoteż aromat, wykluczający z góry wszelkie nieprzyjemne reminiscencje pewnych papierowych idealników, zaparzonych swojego czasu w czajniku przez »Basię«. Aromat ten, czajnik, filiżanki, talerzyki, zakąski i t. d. składały się owszem na całość bardzo apetytną, i był to w ogóle salonik, w którym każdemu wchodzącemu natychmiast robiło się jakoś bardzo dobrze i swojsko. Ażeby jeszcze bardziej spotęgować zdumienie łaskawego czytelnika, pospieszam dodać, że na jednej z pomienionych kanap siedziała pani Alojza, o wiele może trudniejsza do poznania od swojego salonu. Ubrana i uczesana jak Pan Bóg przykazał, odmłodniała o jakie piętnaście lat, a w twarzy jej nie było ani śladu owej nieszczęśliwej miny, budzącej podejrzenie o ból zębów. Uśmiechała się i brała dość żywy udział w rozmowie, którą prowadził jej mąż ze Stanisławem Wołodeckim, podczas gdy geniusz domowego ogniska, którego dziełem były wszystkie te zdumiewające zmiany, tak trudne do uwierzenia, krzątał się około herbaty w postaci 16 do 17 letniej panienki średniego wzrostu, o której wiemy dotychczas tylko, że nazywała się Marynia i wyszła niedawno z pensjonatu.

Krzątała się, jak mówię, około herbaty, i to z takim ferworem, który od razu pozwalał odgadnąć, że odziedziczyła raczej żywy temperament ojca, niż flegmę matki. Czasem, gdy się odezwała do pokojówki, albo do młodszego braciszka — który, nawiasem powiedziawszy, miał tym razem obuwie na nogach i od dłuższego już czasu ani razu nie opuścił szkoły — wymknęła jej się jakaś uwaga dobroduszna wprawdzie, ale przecież zaprawiona czemś nakształt owego sarkastycznego humoru, którym p. Smiechowski osładzał sobie niegdyś, jak widzieliśmy, codzienną swoję mizerję domową. Rysy twarzy miała niezbyt regularne, ale tworzące całość pociągającą, a nadewszystko krasił ją wdzięk młodości i świeżości, którego później ani liljowa woda ani ryżowa mąka zastąpić nie są w stanie. Nie była to zresztą tak zawzięta mała gospodyni, ażeby ją ze wszystkiem absorbowała przyjęta dobrowolnie rola Heby, owszem słuchała naiwnie rozmowy toczącej się u stołu, i parę razy w połowie drogi do samowaru, zatrzymała się była, słuchając długiego wywodu Stani-

*) Pismo Ś. nazywa pustynię starą ziemią próżni i milczenia (Księga Jjoba).

sława, do którego dała powód pani Smiechowska.

Chodziło o nic mniej i o nic więcej, jak tylko o darwinizm. Od pewnego czasu odbywały się w Wilkowie odczyty przeznaczone głównie dla płci pięknej, któremi popisywali się najczęściej młodzi przyrodnicy, wielbiciele nowych badań w dziedzinie fizjologji i biologji. Być może, iż stosowali swoje wykłady do auditorium, z którem mieli do czynienia, być może także, że niejednemu wyrwało się coś niewczesnego i niepotrzebnego — dość, że odczyty te wywołały opozycję w kołach ludzi starszej daty i opozycji tej dała wyraz pani Alojza, oświadczając kategorycznie, że »darwinizm może sobie być bardzo mądrą rzeczą, ale dla panienek nic nie wart, bo podkopuje religię, i dlatego lepiejby było, aby Marynia nie uczęszczała na te odczyty«.

— Żadna prawdziwa nauka nie może podkopywać religji, jeżeli religja opiera się na prawdzie — powiedział był sentencjonalnie Stanisław.

— Ale czyliż może być prawdziwą taka nauka, która człowieka wywodzi od małpy!

— Takiej nauki nie ma, chociaż przyznaję, że są przypuszczenia, które prowadzą do takiego wniosku. Przypuszczenia. te atoli, równie jak i stwierdzone, poparte dowodami rezultaty badań naukowych, nie są w niezgodzie z naszą religją. Nauka dowodzi, że świat, który widzimy, nie powstał od razu, że istoty organiczne powstały z nieorganicznych, że niższe z pomiędzy nich istniały dawniej i przekształcały się w coraz wyższe, póki nie powstał człowiek — a to samo, tylko w kilkunastu słowach i w języku, którego już dziś dokładnie nie rozumiemy, opowiada Mojżesz w pierwszej księdze Genezy. Według niego, równie jak według naszych kosmologów, ciała niebieskie wyłoniły się najpierw z chaosu. Według niego także, w późniejszym okresie dopiero, »drugiego dnia« oddzieliły się na ziemi wody od lądów, i powstała powierzchnia mieszkalna. Według niego także, jak według darwinistów, ryby i amfibja poprzedziły ptaki, ptaki poprzedziły zwierzęta ssące, a zwierzęta te człowieka. Według niego także, Pan Bóg z gliny, a więc z podłego bardzo materjału, podlejszego od małpy, utworzył człowieka, tj. przywołał go do istnienia. Tylko że Mojżesz nie opisuje nam szczegółowo tego procederu rzeźbiarskiego, a uczeni widzą ten proceder w przetwarzaniu się niższych istot na wyższe. Przytem, religja nazywa ową siłę twórczą, porządkującą świat, nadającą mu prawidła, Bogiem, a niektórzy uczeni opierają się używaniu tego wyrazu i zastępują go innemi — ale to jest już tylko kwestją filologji i czczą walką o słowa. W gruncie rzeczy nie ma ateistów, każdy wierzy w jakiegoś Boga, tylko że każdy inaczej go sobie przedstawia. Źle robi ten, kto swoje pojęcia w tej mierze narzucać chce drugim, ale spodziewam się, że nasi prelegenci tego nie robią, bo to w pewnych warunkach byłoby niemal niegodziwością.

— I temu człowiekowi zarzucił nasz Oberkomisarz, że uczy wykreślnej geometrji w sposób bezwyznaniowy! Katechetą by go powinni zrobić!

— Jakżeż katechetą, — zauważyła pani Alojza — a panna Kluszczyńska?

Przed miesiącem, Stanisław byłby się zarumienił na tę wzmiankę, i byłby uczuł przyjemne bicie serca — teraz zaś tylko westchnął i niemal ze łzą w oku spojrzał na pierścionek z ametystem, który miał na palcu. Symptomata tego rodzaju nie przemijają niepostrzeżone w oczach doświadczeńszej płci pięknej, zauważała więc i pani Alojza, że Stanisław od tej chwili posmutniał bardziej niż zwykle, a zwykle bywał tak smutnym, że mógł przymiotem tym obdzielić całe towarzystwo — tylko że towarzystwo od czasu powrotu panny Maryni z pensjonatu było zupełnie nieprzystępne smutkowi.

Wzdychać zresztą i jemu nie dała długo Marynia. Na jej żądanie musiał najpierw ile możności szczegółowo wykończyć swoją argumentację, godzącą geologów i fizjologów z Mojżeszem, musiał następnie z najtragiczniejszą pod słońcem miną opowiedzieć arcykomiczną historję o pewnym botaniku, który zapowiedział był właśnie odczyt »o wpływie muzyki na rozwój świata roślinnego«, i którego pomimo to nie zamknięto ani do domu obłąkanych, ani do kozy jako oszusta, a nakoniec, musiał na poczekaniu przetłumaczyć jeden z owych pięknych wierszyków Heinego, do których istnieje muzyka Szumana, i których panna Marynia nie chciała śpiewać po niemiecku. Nareszcie musiał wyznać, że przetłumaczył także poemat o sporze rabina z mnichem, i musiał wyrecytować swoje tłumaczenie, którego komiczne efekta wypadły jeszcze komiczniej ze względu na ponurą postać i chmurne czoło deklamatora. Popadłszy do reszty w czarną melancholię, odszedł. Jak zwykle w takich razach, nastąpiła między pozostałymi krótka konsultacja co do zasług lub wad osoby, która właśnie salon opuściła. Panna Marynia oświadczyła krótko a węzłowato, że pan Wołodecki ma podobnoś więcej rozumu i talentu od wszystkich pp. profesorów, których poznała, i którzy, jak spostrzegła, nie mieli nigdy do powiedzenia nic niewyczytanego z jakiejś książki. Pani Smiechowska podzieliła się z mężem i córką swojemi spostrzeżeniami co do melancholji Stanisława. Pan Władysław ze swojej strony dodał:

— Szkoda chłopca; ma złote serce, a jeżeli sobie nie wybije z głowy tej urojonej miłości do panny Kluszczyńskiej, czeka go przyszłość niegodna zazdrości.

— Jakto, urojonej? — zapytała pani Aloiza.

— Przecież nie możesz przypuszczać, ażeby młody człowiek z tą głową i z tym charakterem mógł kochać się na serjo w bezdusznej lalce i kokietce? Nie widywał prawie innej młodej osoby, prócz niej, jest w tym wieku, w którym niektórzy młodzi ludzie koniecznie potrzebują się kochać, i umieją idealizować sobie wszystko, na co patrzą — kokieterja panny zrobiła także swoje, i chłopak zadurzył się bez pamięci, a nie przejrzy ponoś, aż po niewczasie.

Gdybym był wówczas obecnym w salonie państwa Smiechowskich, byłbym panu Władysławowi zrobił uwagę, że tego rodzaju rzeczy nie mówi się przy córce, która i tak już przyznała się naiwnie do wielkiego uwielbienia dla osoby pana Stanisława. Młody człowiek, który kocha się w kim innym, ma zawsze tę jedną przynajmniej wadę w oczach każdej panny, chociażby ta w nim sama najmniejszego nie znajdowała upodobania — ale jeżeli jest już początek takiego upodobania, a tatko z całą powagą, jaka mu z wieku i urzędu przysługuje, przeprowadza dowód, że ten młody człowiek właściwie wcale nie kocha się w tamtej drugiej pannie, ale mu się to tylko zdaje — to tatko lepiej zrobi, gdy pójdzie spać, nie powiedziawszy ani słowa. Zresztą, zobaczymy.

Przypadek sprowadził na drugi dzień w mieście pana Smiechowskiego ze Stanisławem. Ten ostatni był jeszcze smutniejszym, niż kiedykolwiek, i wyjątkowo skłonnym do wylań serdecznych. Wyspowiadał się tedy przyjacielowi z dziwnego zakroju, jaki przybrał był od pewnego czasu jego stosunek z panną Natalją.

— Nie rozumiem, o co chodzi — dodał na końcu — ale powiedziała mi niedawno wręcz, że »zawsze coś nas będzie rozłączać«.

— Powiedziała ci to? A więc, chyba wie...

— Co wie?

— Ha, nie powinienbym był może wyrywać się z tem, ale kiedy już zacząłem, muszę skończyć. Czy nie uważałeś przypadkiem, że Kluszczyński boi się mnie niepospolicie?

— Uważałem, ale...

— Nic, ale. A ciebie nie boi się trochę?

— To jest... raz, kiedy z polecenia jego żony, przypomniałem mu, czyim jestem synem, zmieszał się jakoś tak niespodzianie...

— Otóż widzisz, ten pan Kluszczyński, na oko jeden z najgłupszych ludzi w całym Wilkowie, jeden z tych ludzi, których od tak dawna świat przywykł nazywać »poczciwymi«, że poczciwość stała się niemal synonimem nie-mądrości, ten pan Kluszczyński jest w gruncie jednym z największych urwisów, jakich wydała Milicja wraz z Landwerją i uksiążęconem hrabstwem Sokołowskiem. Rzecz miała się tak. Przed laty, kiedy ty ledwie zaczynałeś chodzić, a ja już byłem uczniem szkół łacińskich, twój ojciec i pan Kluszczyński byli obaj urzędnikami chaockimi w Stawiczanach. Twój ojciec miał mały majątecek, częścią odziedziczony, częścią pochodzący z posagu twojej matki. Część pieniędzy umieścił na hipotekach, a część trzymał w domu. Jednocześnie działo się to, co się powtarza od czasu do czasu, że rząd chaocki ścigał wszystkich malkontentów milicyjskich, w niezbyt przyjaźnym zamiarze powieszenia ich na pierwszej szubienicy, jakaby się znalazła. Trzech takich malkontentów uciekało przez Stawiczany, i mieli rekomendację od ojca pani Klusz-

czyńskiej, rządcy w dobrach starego hr. Skirgiełły, do pana Kluszczyńskiego. Ten umieścił jednego z nich na nocleg u siebie, a dwóch dał do twego ojca. Malkontent umieszczony u pana Kluszczyńskiego miał przy sobie sakiewkę z dwoma tysiącami czerwieńców, którą, kładąc się spać, położył pod poduszkę, i której rano nie znalazł. Wiedziałem o tem wszystkiem, bo jak wiesz, sam pochodzę z rodziny malkontentów. Zrobiła się chryja, cicha i niewyraźna, bo ani malkontenci nie śmieli mówić głosno, ani nikt głośno przyznawać się do nich. Pan Kluszczyński skorzystał z okoliczności, że wszyscy trzej malkontenci, nim się rozstali wieczorem, zmęczeni drogą i brzydkiem powietrzem, wypili byli po kilka szklanek herbaty z rumem, która ich zamroczyła, wmówił więc w nich, że jego malkontent przed rozstaniem się, wręczył swoją sakiewkę do przechowania jednemu z dwóch malkontentów twego ojca, a więc czerwieńce zginęły u was, nie u niego. Twój ojciec nie rzekł ani słowa, przeliczył czerwieńce na idealniki, co uczyniło dziesięć tysięcy, tj. tyle, ile jeszcze posiadał kapitału, i oddał całe swoje mienie okradzionemu malkontentowi. Malkontenci odjechali, a w miesiąc później usunięto twego ojca z posady i wytoczono mu proces o przechowywanie malkontentów. Z procesu nic nie było, ale stary zmartwił się swoją ruiną i umarł, a pan Kluszczyński w rok później kupił małą wioskę, z której powoli zrobił większą, itd. Teraz uważaj. Ów okradziony malkontent żyje, jest to hrabia Gozdawicki, wiceszpitalnik powiatu Moszrodziejowskiego, którego widujesz w Wilkowie. Ile razy go widzę, klnie mi się na zbawienie duszy, że przypomina sobie najwyraźniej, iż nie oddawał nikomu sakiewki do przechowania, ale nocując u Kluszczyńskiego, włożył ją pod poduszkę. To jedna sprawa. Druga zaś jest u mnie w biurku. Oberkomisarjat ma zwyczaj od czasu do czasu sprzedawać stare akta, a ja mam zwyczaj kupować od kramarzy, co jest ciekawego. Między innemi, kupiłem oryginalny donos, pisany i podpisany przez Kluszczyńskiego, tej treści, że tego a tego dnia tacy a tacy trzej malkontenci ścigani przez władzę nocowali w Stawiczanach u substytuta inspektoratu, Wołodeckiego. Zebrawszy te dwa fakta razem, natarłem na Kluszczyńskiego, ażeby przynajmniej twojej matce zwrócił owych 10.000, które mojem zdaniem, poprostu ukradł. Wił się jak wąż i drżał, ale pieniędzy nie oddał. Chciałem udać się na drogę sądową, mając żywego świadka w osobie Gozdawickiego, ale twoja matka protestowała przeciw temu, a Gozdawicki, jako prawdziwy grand milicyjski, także nie bardzo był rad zeznawać w sądzie, iż kiedyś przed laty on, wiceszpitalnik, bywał malkontentem! Na wszelki wypadek atoli został w mojem ręku ów fatalny donos, i pojmujesz, jakiby to efekt sprawiło, gdybym np. ogłosił publicznie, że wielki patrjota, prezes rozmaitych komitetów i zakładów, sekretarz Kluszczyński, rozpoczął karjerę od podłej denuncjacji, i od prostej kradzieży. Jeżeli panna Natalja wie cokolwiek o tem zajściu, a zwłaszcza jeżeli wie coś niedokładnego, coś np. o nieudowodnionym zarzucie złodziejstwa, ciężącym na jej ojcu, to słusznie powiada, że zawsze »coś was będzie rozłączać«.

Stanisław słuchał tego opowiadania jak bajki o żelaznym wilku, chociaż rozjaśniało mu ono niejedno, co słyszał bądź z ust swojej matki, bądź od p. Kluszczyńskiej. Niepodobna, ażeby nie czuł jak największego oburzenia przeciw szanownemu, poczciwemu sekretarzowi, ale z oburzeniem tem, przy ogólnym nastroju umysłu, w jakim się znajdował, łączyło się coś, czego dobrze nie mógł zdefiniować, a co odnosiło się do panny Natalji. Jeżeli znała całą sprawę tak, jak ją opowiadał Śmiechowski, to była godną politowania, i w takim razie było jego obowiązkiem milczeć o tem na zawsze, a tylko kochać i kochać ją tak mocno, ażeby zapomniała o tem, co ich miało »rozłączać.« Jeżeli zaś przeciwnie, jak przypuszczał Śmiechowski, wiedziała tylko o dawnych i bardzo przykrych zatargach jakichś między jej a jego ojcem, nie znając ich natury i przebiegu, to — to jeszcze i wówczas postanawiał milczeć, i nie poniżać ojca w oczach córki, ale tylko znowu kochać i kochać ją tak mocno, aby nie miała żalu do niego, jakkolwiek opartego na błędnem mniemaniu.

Przejęty temi uczuciami, udał się jeszcze tego samego dnia do dworku pp. Kluszczyńskich, i nie dając wcale do zrozumienia, iż wie coś więcej niż wiedział poprzednio, przemówił otwarcie, serdecznie i gorąco do swojej narzeczonej. Wyznał jej, że widzi w niej oziębłość, niechęć prawie, i zapytał drżącym głosem, czy ma zrzec się nadziei.

— Dałam słowo; mam tylko jedno słowo — odparła z miną godną Wandy w chwili, gdy rzucała się w wodę.

— Więc mogę nalegać na... na ojca pani, ażeby przyspieszył chwilę, dla mnie tak upragnioną?

— To pańska rzecz, nie moja. O to się nikt nie zwykł pytać.

Zapewne, pomyślał, jak mogłem pytać się o to?

Bez namysłu udał się do sekretarza, chociaż spojrzawszy na niego czuł, że mu słowa strzęgną w krtani. Sekretarz słuchał go z kwaśną miną, i mówił ciągle o sytuacji, która się jeszcze nie wyjaśniła. Stanisław odparł, że nie wyjaśni się ona chyba nigdy, i zapytał nakoniec wprost, czyli ma widzieć w tem kunktatorstwie zamiar cofnięcia danego słowa?

— O, broń Boże! Ja mego słowa nie cofam! Tylko widzisz kochany Stasiu, zaangażowałem kapitały w różne przedsiębiorstwa... Chciałem dać córce 50.000 gotówką... obecnie będę mógł dać ledwie połowę, a od drugiej procent...

— Ależ panie, co mię to obchodzi? Ja posagu panny Natalji nie potrzebuję i nie wezmę do ręki. Co pan jej przeznaczasz, to pan jej oddasz, ja z tem nie chcę mieć nic do czynienia! Chciej pan to pamiętać raz na zawsze, i w tym duchu sporządzić kazać dokumenta prawne, jakie będą potrzebne. Proszę tylko o jakiś termin stanowczy.

— Hm... teraz nadchodzi adwent; więc chyba aż po Trzech Królach, w zapusty... ot tak, w trzecią niedzielę...

Nie posiadając się z radości, Stanisław wybiegł donieść Natalji o tym pomyślnym rezultacie. Odwróciła twarz, ale uścisnęła go za rękę, a on z takim zapałem począł całować dłoń, którą mu podała, że nie widział nawet, co się działo w twarzy! A tymczasem otworzyły się drzwi i wszedł dr. Mitręga. (C. d. n.)

Stronnictwo rewolucyjne i nihilizm w Rosji

przez

ANATOLE LEROY-BEAULIEU

streścił

Dr. W. Wł. C.

Od autora prac licznych na polu instytucji społeczeństwa rosyjskiego, który sam na wstępie wspomina o „długich studjach“ nad emancypacją, administracją, wymiarem sprawiedliwości, armią, dziennikarstwem, spodziewaliśmy się więcej światła, więcej gruntowności. I dlatego może artykuł powyższy umieszczony w „Revue des Deux Mondes“ niezupełnie nas zadowolnił, pomimo znakomitej djalektyki. Zdawało nam się, że autor traktuje przedmiot ten zbyt pobieżnie, jakby bez planu z góry obmyślonego. W całym przebiegu rozprawy widać pewną chwiejność, jakby walkę wewnętrzną autora, który raz z lekceważeniem spogląda na „błędnych nihilizmu rycerzy“, to znowu przeraża się własną analizą zgubnej propagandy, w końcu zaprzeczyć nie może możliwości katastrof, których nieokreśla bliżej.

Zarzuciwszy panu Beaulieu pobieżność, dodać musimy na jego usprawiedliwienie, że nie łatwo dziś już robić studja ścisłe na polu zakrytem nihilistycznych knowań. Tylko akta licznych procesów i znajomość terenu, mogły mu dostarczyć wątku. Znaleźliśmy zresztą obok myśli, na które zgodzić się nam niepodobna, tyle trafnych poglądów, że nie uważamy za zbyteczne zapoznać z nimi szerszą publiczność naszą.

Oczywiście nie możemy z autorem uważać podjętych przez Aleksandra II. reform za wielkie w dziejach narodowych dzieła. Dość rzucić okiem na te reformy w dawnych ziemiach rzeczypospolitej ogniem i mieczem skalane, na to pognębienie sumienia i myśli, na bezwzględne tępienie wiary, aby tym kartom dziejowych reform odjąć urok piękności i wielkości.

„Reformy te“, oto bieg myśli autora, „nie odpowiedziały oczekiwaniom rządu ani kraju.“ „Przyszłość Rosji zreformowanej nie przedstawia się mniej ponuro, jak za ostatnich dni Mikołaja. Jakież przyczyny tego fenomenu?“ Na to zagadnienie — powiada autor — znajdujemy dwie odpowiedzi, wręcz sprzeczne: Ilość reform idących bez przerwy, następujących z gwałtownością jedna po drugiej, zbyt wiele przedwczesnych innowacyj, oto przyczyna złego. „Au lieu de donner aux lois recentes le temps de porter et de

*

mûrir leurs fruits, on n'a eu d'autre souci, que de greffer les unes sur les autres des innovations nouvelles". I druga wręcz przeciwna odpowiedź: Właśnie złego przyczyną jest reform niedostateczność. „Loin de tomber dans le superflu, on a reculé devant le nécessaire". „Dwa zdania na pozór sprzeczne mogą zawierać prawdę po połowie, i ten wypadek tu może zachodzi... Rosja zreformowana jest na podobieństwo starego domu, w którym odnowiono część jedną, zostawiając inne nietknięte w ich dawnej formie, bez harmonji i związku w różnych oddziałach, bez zrównania piąter do jednego poziomu, o salach niskich i ciemnych następujących po pokojach wysokich i jasnych. Nie można się zdziwić, gdy śród mieszkańców tego domu jedni żałują tego co zburzone, drudzy chcą dokończyć urządzenia gmachu jednolicie, podczas gdy najmłodsi uważają za stosowne wszystko zburzyć i zbudować na nowo. Stan taki gdzie ani w instytucjach ani między niemi a praktycznem ich wykonaniem nie ma karności, musi żywić ducha przewrotu, jakkolwiek ten nie leży w naturze moskiewskiego narodu... z drugiej strony miazmy rewolucji europejskiej weszły w skład tego organizmu.. ale radykalizm socjalny rosyjski nie znalazł przystępu do tych warstw społecznych, w jakich gnieździ się na zachodzie. Na ten fenomen należy zwrócić uwagę: „cette différence explique à la fois l'énergie factice et la debilité des partis subversifs en Russie — leur vigueur apparante, leur impuissance réelle"....

Licznych zwolenników rewolucji nie spotyka się w Rosji, jak na zachodzie w najniższych warstwach społeczeństwa, lecz przeciwnie śród warstw stosunkowo wyższych, śród szlachetczyzny, czynowników niższych, rodzin niższego duchowieństwa, jednem słowem śród klas, które w innych krajach należą do konserwatywnych .. największa część rewolucjonistów należy do klas, niedawno jeszcze uprzywilejowanych... Lud, we właściwem słowa znaczeniu, t. j. masy, tak w miastach jak i po wsiach, są dziś jeszcze obce ideom rewolucyjnym... Siłą zwyczajów i wierzeń, zamiłowaniem tradycyj i czcią powag przejęty człowiek z ludu, „mużyk", odwraca się ze wstrętem od teoryj przewrotu... sród tych warstw, krzewiciele rewolucji podobni są do misjonarzy głoszących kult nieznany ludziom, którzy ich nie słyszą ani rozumią...

Broszury rewolucyjne, porównania i parabole nie bywają rozumiane przez naiwnego czytelnika. Autor przytacza następującą anegdotę: Nauczyciel wiejski, liberał i demokrata zgromadzał wieczorami wieśniaków i bawił ich czytaniem, „wieczorkami literackimi", mawiał, zapobiegałem hulankom karczemnym". „I cóżeś pan im czytał"? — zapytuje sąsiad „Powieści, na przykład: „o dwóch jenerałach na wyspie", (jestto powiastka tendencyjna). Dwaj jenerałowie rosyjscy budzą się na wyspie nie znanej. Z razu nie wiedzą, co mają począć, w tem spostrzegają śpiącego „mużyka". Hej, co tu robisz próżniaku? — krzyknęli — wstawaj i zrób nam obiad. Chłop usłuchał, złapał zająca, upiekł i podał jenerałom. Cóż to — zawołali ci panowie — nie ma tu domu? czy będziemy żyć pod gołem niebem, jak dzicy? Ruszaj durak, zrób nam mieszkanie. Chłop wziął siekierę i zbudował dom z drzewa. Jakkolwiek nieźle umieszczeni i pożywieni jenerałowie, nudzili się jednak na wyspie samotnej. Ludzie z naszem stanowiskiem nie mogą egzystować na wyspie odludnej, słuchaj trutniu, weź twoją siekierę i zrób nam czółno. Chłop gromiony i bity, buduje czółno, wiosłuje i przywozi jenerałów do Petersburga, którzy w nagrodę udzielają mu rubla.

I cóż na to wieśniacy? — zapytano nauczyciela. — Śmiali się z całego serca, pochlebiało im to, że jenerałowie mogli równych im „mużyków" na coś potrzebować, byli z tego dumni. Takie tylko wrażenie wynieśli z tej powieści ..

Śród takich okoliczności — dodaje autor— łatwo przewidzieć niepowodzenia, które czekają błędnych rycerzy nihilizmu.

Zdawałoby się, że autor na teraz nie widzi niebezpieczeństwa. Dalsza analiza przedstawia rzecz cokolwiek odmiennie.

...Pewne symptomy wskazują, że nawet „mużyk" niezupełnie jest nieprzystępny podszeptom rewolucyjnym. Autor zwraca uwagę na fakt, że już procesy polityczne z lat 1878 i 1879 wykazują między skazanymi pewną liczbę rzemieślników i chłopów... Masom ludu są wprawdzie obojętne polityczne teorje, lecz i u ludu jest strona słaba, przystępna dla propagandy, tą słabą stroną jest dzisiejsza forma własności nieruchomej w Rosji. Wieśniak tamtejszy w ogóle, a w znacznej części rzemieślnik, jest wprawdzie właścicielem ziemi, ale mylny ztąd wniosek, że ta własność, nadając ludowi charakter konserwatywny, zabezpiecza od rewolucyjnych tentacyj. Zdanie to byłoby słusznem, gdyby własność usamowolnionego chłopa była dziedziczną jak wszędzie. Ale w Rosji centralnej wieśniak jest tylko posiadaczem przydzielonej mu niwy ze wspólnej własności gminnej, a dodać trzeba, że cząstki te maleją ze wzrostem ludności.

Wielbiciele miru mylą się więc uważając go za niezawodne antidotum rewolucyjnych trucizn... Gdyby jeszcze ta forma własności wspólnej, niestałej, była w Rosji jedyną, gdyby prócz gminnej nieznano innej własności! Tak jednak nie jest w ojczyźnie miru, prawie połowa obszaru roli wyjęta z pod praw wspólności gminnej przedstawia ponętę, na którą łatwo zwrócić oczy i żądze „mużyka". A to tem łatwiej, że instytucja wspólności gminnej nie mogła wyrobić u ludu pojęcia własności trwalej, nienaruszalnej i świętej... Pomimo przytoczonych wadliwości zmienić tej instytucji niepodobna bez wywołania wielkiego niezadowolenia i fermentu w masach... System wspólnej własności, utrzymany nadal, czy też zburzony, będzie zawsze w rękach nowatorów bronią, z której nieomieszkają skorzystać. Dlatego „Zemla i Wola" jest od lat 20 nihilistów hasłem... Autor przytacza dalej fakta zawiązanych stowarzyszeń tajnych, włościańskich z wyraźnie wypowiedzianą myślą podziału ziemi nienależącej do wspólności gminnej... Charakterystycznem jest, że należący do tych rewolucyjnych drużyn, mużyki byli przekonani, że spełniają tylko wolę cara.

Lud jest więc ciemną bierną masą, na którą wyżej postawione żywioły przewrotu zwróciły agitację wytrwałą. W rozdziałach następnych przedstawia autor te główne sprężyny działania nihilistów.

Słowo „nihilizm", zdaniem autora, wzięto z romansu Turgenewa „Peres et Enfants", w którym przedstawiona pierwsza nihilistów generacja... „De Maistre", miał już w „listach z Rosji" używać wyrazu „rienisme".

Nihilizm w filozofji, to tylko gruba forma materjalizmu, w polityce, to radykalizm socjalistyczny. Hasłem jego: burzyć! Pod tym sztandarem stają różnych kategoryj rewolucjoniści, w tem tylko zgodni, że wszelką dyskusję o przyszłej organizacji zostawiają aż do czasu zwycięstwa.

...Pierwiastki nihilizmu przyniesiono z zachodu. Jest to uczeń zachodnich szkół rewolucyjnych, który w zapale przeszedł swych mistrzów, nie oparty jednak, jak w Niemczech, o jakiś wyrozumowany system. Jest to ślepa negacja, postawiona jako dogmat, bez cienia tolerancji. W tej nowej formie wyrosły na gruncie rosyjskim ziarna europejskich szkół socjalistycznych, łącząc w sobie obok najgrubszego materjalizmu, pełną mistycyzmu wiarę i fanatyzm.

...Dogmata nihilistyczne są wyjęte z pod dyskusji, jak objawienie, wykonywane religijnym entuzjazmem. Ci burzyciele wszelkiej wiary w istotę nadprzyrodzoną, w duchu — są niemniej w swoim rodzaju idealistami, podobni do religijnych sekciarzy, mają swoich męczenników i swoje obrzędy. Autor wspomina tu o „małżeństwie fikcyjnem", często przez nihilistów praktykowanem w celach propagandy.

Nihiliści mają pełnych poświęcenia misjonarzy... „Czy widział kto za naszych czasów, w innych krajach, młodych ludzi z rodzin zamożnych, słuchaczy wszechnic, rzucających wraz z suknią sposób życia i zwyczaje klasy uprzywilejowanej, do której należą, ażeby zstąpić w szeregi robotników... Czy widziano gdzieindziej panny, dobrze wychowane, przyjmujące z radością miejsca kucharek w pracowniach, dla zbliżenia się do ludu i studjowania kwestji robotniczej...

Pomimo wstrętnych zasad, śmiesznych uroszczeń, potępienia godnych zbrodni, nie można zaprzeczyć nihilistom entuzjazmu i poświęcenia się dla idei... Fermentu rewolucyjnego nie dostarczają w Rosji, jak gdzieindziej — nędza i nieświadomość, chciwość i ambicja; lecz często dążności wyższe i w gruncie rzeczy szlachetne... „Z tego punktu widzenia" — kończy autor — „nie waham się powiedzieć, że symptom ten robi zaszczyt narodowi, który nań cierpi".

Przypomnieć tu musimy odmienne pod tym względem zapatrywania Cytowicza, profesora wszechnicy odeskiej, wyrażone w „odpowiedzi na listy do ludzi uczonych" (Przegląd Polski 1879). Sprężyny działania nihilistów nie przedstawiają się rosyjskiemu autorowi równie idealnie. Źródłem akcji jest u niego cynizm niedouczonych libertynów — małżeństwa fikcyjne są tylko wyrazem namiętności bez granic. Autor przytacza „parę modelową" swobodnej miłości i jej podróże po Rosji, odbyte z wielkiem powodzeniem, i zwraca uwagę na działanie takich przykładów — na fakta smutnej pamięci, które po ukazaniu się takiego modelu następowały. Wobec takich motywów zadziwić nie może liczny udział kobiet rosyjskich w stowarzyszeniach nowatorów życia społecznego i rodzinnego. Grunt do takich praktyk, podkopujących rodzinę, wywracających wszelkie pojęcia etyczne — przygotowały „ostatnie wyniki nauki", podawane przez niedouczonych dyletantów — których autor nie waha się,

nazwać oszustami. Tylko w społeczeństwie od dawna toczonem gangreną zepsucia, gdzie życie familijne wykolejone, pozbawione idealnych ognisk, zeszło tylko do formy luźnej — mogły się przyjąć te zgubne zasady.

Że zasady, głoszone przez nihilistów, dają świadectwo zupełnego braku wszelkiej etycznej podstawy u nowatorów, zaprzeczyć niepodobna, i pod tym względem profesor odeski bliższy rzeczywistości, zdaje nam się też bliższy prawdy. Lecz z drugiej strony przyznać trzeba, że każda propaganda polityczna, choćby najzgubniejsza i najniższa, podbija nieraz młode umysły szlachetne i do poświęceń zdolne, wyzyskując je dla swoich celów.

Wracamy do streszczenia dalszych uwag pana Leroy Beaulieu...

Największa liczba nihilistów rekrutuje się z młodych ludzi i panien. Z wiekiem zdaje się ostygać zapał. Liczne niezmiernie procesy polityczne ostatniego lat dziesiątka przedstawiały prawie bez wyjątku tylko ludzi młodych, często małoletnich — rzadko takich, którzy rok 30ty skończyli.

Nic naturalniejszego, jak znużenie i upadek ducha w następstwie kilkuletniej chorobliwej egzaltacji — fenomen ten leży zresztą w charakterze rosyjskim: „Dans l'ame russe, le découragement semble toujours sur les pas de l'enthousiasme, l'abattement y suit de plus près l'éxaltation.“

W ostatnim rozdziale rozbiera autor kwestję możliwości wybuchu rewolucji w Rosji: „Krwawa anarchja i rozkład monarchii byłyby nieuniknionym jej skutkiem. Na szczęście cywilizacji — nie masz kraju, w którymby tryumf rewolucji, nawet chwilowy, był mniej prawdopodobny, jak w Rosji. Rozmiary państwa, ludność zbyt rozrzucona, mała ilość miast, stanowią tyleż nieprzebytych przeszkód. Nie ma tu Paryża, stwarzającego rewolucję — w stolicy nie ma ludu, któryby mógł ją podnieść...

„Trzeba raz przestać wyobrażać sobie Rosję, jako wulkan do wybuchu gotowy... We Francji czasów Ludwika XVI, wieki nagromadziły materjały palne, które czekały tylko na iskrę, ażeby wzniecić pożar dotąd niebywały. W Rosji Aleksandra II przeciągają po niebie perzyny, niesione zachodnimi wiatry, przelatują błyskawice i światła ponure, rażące oko — ale materjałów palnych nie ma lub zanadto są rozrzucone, ażeby powstać mógł pożar wielki... Dziś jak w roku 1825, jak w 1848, brakuje w Rosji żywiołów rewolucyjnych“.

...Energia, wytrwałość — odwaga i heroizm, nieprzyjaciół państwowego porządku, osiągną ten cel jedynie, że niemoc ich stanie się widoczną... W Rosji braknie poczucia narodowości — bez tej dźwigni — nihiliści nie dorównają rewolucjonistom niegdyś włoskim lub polskim.

...Mogli zgładzić kilku dygnitarzy — palić domy — nawet miasta całe, rewolucji wzniecić nie mogli...

.. Agitacja nihilistyczna — kończy autor — chociaż dziś rewolucją nie grozi, niemniej jest szkodliwą państwu, w którem sprowadzić musi anarchię pojęć naukowych i moralnych. —Sytuacja taka trwać wiecznie nie może, nie potrzeba na to lat wielu, może nawet mniej niż generacji jednej — ażeby wszelkie katastrofy stały się możliwemi...

Nihilizm jest wrzodem, który bez starannej kuracji może stać się nieuleczalnym, stoczyć ciało społeczne i dosięgnąć organów najżywotniejszych...

Tu nie pomogą środki represyjne... są choroby, które niegdyś leczono dyetą i krwi ubytkiem, do których dziś zastosowują środki wzmacniające — wiele powietrza i ruchu. Taki wypadek zachodzi w Rosji...

...U narodów tegoczesnych duch rewolucji jest jedną z chorób, do której przyzwyczaić się muszą. Być dość silnym, ażeby znieść chorobę — oto cała kwestja. A środkiem na to najlepszym zdaje się być polityczna wolność... W Rosji braknie jej zupełnie. Trzeba tym prądom niepewnym, które się budzą w młodzieży i w społeczeństwie — pod groźbą wybuchu — otworzyć ujście legalne.

...Jak to uczynić, jak zastosować polityczne wolności do ustroju państwa autokratycznego, będzie przedmiotem dalszych badań autora.

WYSPA MAN.

Odosobniona wpośród moża irlandzkiego wyspa Man jest krajem pełnym starych legend, naiwnych przesądów pomięszanych z wojennemi epizodami.

Leży ona w równej odległości od trzech królestw Wielką Brytanję składających i pozostawiła wspomnienie swojego starożytnego stanowiska politycznego w swoim herbie.

Ma bowiem w kole trzy nogi w butach z ostrogami, biegnące jedna za drugą z dewizą *Quocumque jeceris, stabit* (gdziekolwiek rzucone, staną).

Dziś wyspa ta jest jedną z przynależytości połączonych królestw — gdyż w 1829 roku kupioną została przez rząd od księcia d'Athol za 12,500.000 fr.

Obecnie na wyspie, jako jedyny pomnik panowania dawnych książąt, pozostał tylko zamek *Castle Mona*, zamieniony na bogaty hotel dla turystów.

Niegdyś wyspa należała do Stanlejów i nosiła nazwę *Bein-y-phoh* albo Mona.

Starożytny język tuziemców przechowuje się jeszcze w chatach i zakątkach samą niedostępnością swoją broniących się od wpływu cywilizacji europejskiej — tam również kryją się zabytki dawnych praw, zwyczajów i administracji pół klerykalnej.

Wyspa ma 50 kilometrów długości na 16 szerokości; brzegi jej stanowią pokłady wapienne, porozrywane w wielu miejscach przez gwałtowne burze.

Posępne te i czarne skały, o które rozbijają się wzburzone fale, wznoszą się do 100 metrów nad poziom morza, pozostawiając zaledwie kilka szczelin, w których rybacy ukrywają wątłe swoje statki.

Wyspę przecina łańcuch wzgórz nagich, tworzących jakby czub koguci; najwyższym szczytem jest tu Snaffell, mający blisko 600 metrów wyniosłości.

Wejście na szczyt staje się celem wszystkich zwiedzających wyspę; widać ztąd przy pięknej pogodzie sylwetkę brzegów Anglji, Szkocji, i Irlandji, na skraju zaś widnokręgu ku południowi wznosi się odosobniony satelita *Calf of Man*, skała wapienna, wznosząca się na 150 metrów nad poziom morza, oddzielona od wyspy cieśniną trzy kilometry szeroką, bardzo niebezpieczną dla żeglarzy, szczególniej w czas niepogody.

Podróżny przybywający na wyspę wpływa do portu Douglas.

Spadzistości pokryte kępkami drzew mocno odbijają się na tle nagich wzgórz; pola uprawione ukazują się otoczone płotami żywemi.

Wyspa ma 15,000 mieszkańców.

Na dwóch jej skrajach wznoszą się dwie wysokie skały, na których zbudowane są latarnie morskie.

Dwa porty jeden obok drugiego, jeden starożytny, drugi nowy, pełne są małych statków, które ułatwiają komunikację wyspy z lądem stałym.

Miasto Douglas i port jego zabezpieczone są od wiatrów północnych i wschodnich wysoko wzniesionem wybrzeżem w kształcie wyższej części wielkiego lejka, na którego pochyłości rozsiane są grupy willi gotyckich z wieżyczkami okrytemi bluszczem, u nóg których zamierają ostatnie falowania wód morskich.

Stary fort Ann, bardziej potrzebny dla harmonji obrazu aniżeli dla obrony, zakończa pejzaż.

W pośród zatoki na oddzielnym odłamie skały wznosi się wieża obronna, ostatni zabytek fortyfikacji średniowiecznych, dziś wyglądający więcej na wybryk fantazji dekoratora, aniżeli na fortecę; klejnocik ten architektury wojskowej jest celem przechadzek zwiedzających i stanowi pierwszy plan prawdziwie pysznej panoramy zatoki Douglas, która w piękne dni letnie oświecona jasnem słońcem przypomina cokolwiek sławną z swej piękności zatokę Neapolu.

Komunikacja na wyspie ułatwiona jest bardzo: dwie linje dróg żelaznych wychodzą z Douglas.

Jedna z nich prowadzi przez Casteltown do Port-Erin, druga przecinająca wyspę przez jej szerokość odchodzi do Peel z odnogą do Ramsey.

Oprócz tego łatwa żegluga dokoła wyspy pozwala na komunikację statkami; podróż dokoła brzegów trwa zaledwie parę godzin i jest prawdziwą panoramą przecudownych pejzaży.

Wnętrze wyspy zdaje się być Szwajcarją w miniaturze.

Kontrasta stanowią główny charakter tych piękności natury.

Świeża kaskada spadająca w dolinę zieloności pełną wpośród wzgórz dzikich i nagich.

Fantastyczne skał dzikich wyłomy służą za podstawę gęstym bukietom drzew liściastych.

Gdzieindziej znowu spokojne porty naturalne wyżłobione są w groźnych skałach.

Takim jest Port-Erin, taką skromna zatoka Maryport, w której rybacy małe swoje zabezpieczają statki pod skalistą górą wapienną, o którą, jak niesie tradycja, rozbił się jeden ze statków sławnej Armady...

Badacz starożytności ma tu obfite pozostałości czasów feodalnych w Castletown — założonem w r. 945 przez Guttreda, syna króla norwegskiego Orry — znajduje się dotąd sławny zamek Rushen, sięgający pochodzeniem odległej starożytności.

W Cloven, nieopodal Laxey, w Glendarrogh, w Kirk-Arboray mnóstwo jest dobrze nawet zakonserwowanych zabytków druidycznych; w Kirk-Braddon i Kirk-Andreas odkryto niedawno t. z. *barrows*, czyli grobowce naczelników starożytnych pokoleń z czasów feodalnych...

Dla historyków również obszerne tu pole studjów.

Wyspę tę znał już Juljusz Cesar, nazywał ją Mona i brał za jedno z wyspą Anglesea.

Ślady dawnych praw *manx* i zwyczajów są tu starannie przechowane.

Wolno tu jeszcze za dług jednego szylinga osadzić w więzieniu na podstawie praw starożytnych, pomięszanych dziwnie z zwyczajami angielskiemi.

W Tyndall Hill przechowuje się wzgórek, z którego corocznie d. 5 lipca ogłaszane były prawa nowe; administracyjnie wyspa podzielona była na 17 *Kirk* czyli parafji, z których każda dzieliła się na 10 *sheadings*.

KRONIKA TYGODNIOWA.

(A) Nawet stara filozofja narodu, owe przysłowia, zaczynają zawodzić na świecie. Dawniej mówiono: gust kobiet, łaska pańska, pogody jesienne, są to rzeczy zmienne; dziś co do kobiet i łaski pańskiej sprawy te zostały in statu quo, a nawet powiedzieć można spotęgowały się w swej zmienności — ale jesień za to opinię swoją przekazała i wiośnie. Bo proszę sobie przypomnieć, czy to maj, albo wiosna była? Zimny deszcz ze śniegiem i wiatrem przez całe dni trzydzieści i jeden, godziły wciąż na pogodę tak, że ani jedna uczciwa majówka, ani jedna fantowa loterja nie mogły się udać należycie. Nawet szanowni członkowie towarzystwa strzeleckiego nie mieli odwagi wziąć broni do ręki, aby sobie wystrzelać króla kurkowego, jak równie i artyści-malarze stracili władzę w rękach do malowania — bo zapowiedziana na 16. maja wystawa sztuk pięknych nie przyszła do skutku dla braku corpus delicti.

Jużto artyści nasi i artystki w tym czasie również ponieśli małą klęskę na arenie wielkiego świata za granicą. Bitwa pod Grunwaldem Matejki nie podobała się w Paryżu, a pani Modrzejewska, mimo tak szumnie i szeroko drukowanych reklam po wszystkich dziennikach naszych — nie może się dostać do żadnego z lepszych teatrów londyńskich, a nawet w tym co grywa — dostąpić zaszczytu występowania wieczorem. Pokazuje się z tego, że wypadałoby czasami i nam wstrzymywać się trochę z wkładaniem wieńców na każdą głowę, której się zdaje że może pasować do wieńca; albowiem niedługo niedługo, gdy zabraknie już tych głów — zmuszeni będziemy wieńczyć kapuściane głowy. — Ot i teraz w Warszawie sędziwy poeta Odyniec, ten sam, który zeszłego roku, bawiąc u wód w Galicji, napisał ów znakomity wiersz do *bosonóżek*, drukowany z wielkim aplauzem w „Czasie“ — wobec Deotymy przybrał charakter Ojca Świętego, ofiarując tej wieszczce narodu prawdziwą złotą różę. Dawniej, przypominamy sobie, zaszczyt taki spotykał tylko królowe, i to z rąk papieża — dziś królowę zastępuje Deotyma — a pan Odyniec Ojca Świętego, pomimo, że widomą głową kościoła jest Leon XIII. Wypada nam jeszcze objaśnić, za co ta złota róża? Oto za napisanie powieści, której jeszcze ucho ludzkie nie słyszało, oko nie widziało, ale która dopiero poczęta została w gabinecie tej dostojnej panny, i bardzo być może, tam żywot swój zakończy... To się nazywa prawdziwa adoracja i prawdziwa reklama stowarzyszenia wzajemnej adoracji.

Mimo brzydkiej wiosny i niezbyt przyjemnych widoków na urodzaje w Galicji — tudzież stąpającego leniwo głodu między ludem wiejskim, Kraków pochował po raz trzeci jak się zdaje historyka Długosza, chociaż niestety bez głowy, ale za to z całym przyborem średniowiecznego ceremoniału z nabożeństwami, protokołami, wreszcie z kongresem historycznym. Jaka to szkoda, że nie ma w dyplomatycznym języku jeszcze czegoś wyższego, niż kongres na oznaczenie powagi zjazdu dla spraw obchodzących interesa jednego kraju, bobyśmy tu we Lwowie zaraz to coś wyższego zrobili, żeby ich zakasować. Ja proponuję zebrać się mającemu sejmowi dać nazwę co najmniej synodu powszechnego, bo cóż wobec kongresu historyków polskich może znaczyć ta skromna nazwa *sejm?...* Ostrzegam tylko przyszłych członków tego synodu, żeby się przypadkiem nie wyrwał który z mową niemiecką do takiego naprzykład Roeppla, który niepodobna jest, aby pisząc historję Polski, nie umiał po polsku.

Szczęśliwy ten Kraków, dalibóg bardzo szczęśliwy! Ledwie że dostał akademję, zaraz postarał się żeby dla niej groby przygotować. Tak jest: na Skałce jest już panteon gotowy dla wielkich ludzi i drżyj z radości wszelka wielka dusza, abyś się tam dostać mogła, a twoje wielkie kości mogły również chociaż bez głowy spocząć obok Długosza! Nie długo przyjdzie czekać, a usłyszymy zapewne o nowem odgrzebaniu czyichś popiołów i złożeniu ich na Skałce... cierpliwości!

My tu we Lwowie, nie możemy się czemś tak znakomitem pochwalić, jak Długoszem, choć z wielkim żalem i bolem serca pochowaliśmy w tym tygodniu wyrwanego tak nagle z pomiędzy nas, uczciwego i prawego współobywatela i pracownika śp. Edwarda Błotnickiego. Któż nie znał tej charakterystycznej, wiecznie czynnej, wiecznie serdecznej i dla każdego życzliwej, o gorącej patrjotycznej duszy, postaci pana Edwarda! — Znikł z pomiędzy nas tak nagle, że doprawdy wierzyć się nie da, aby idąc ulicą nie miało go się spotkać więcej, i nie miało się uścisnąć tej szlachetnej jego dłoni. Pięćdziesiąt lat wśród ciężkiej i mozolnej pracy, przeorał ten człowiek na niwie ojczystej, prawie zawsze pod wozem a nigdy na wozie, i skonał przy ostatniej skibie z pługiem w ręku, z uznojonem czołem lecz sumieniem czystem. Nie zostawił rodzinie nic, pomimo, że pracował za trzech, przez całe życie, lecz zostawił im piękne imię, cześć ogółu i ten serdeczny żal wszystkich, które w tak manifestacyjny sposób towarzyszyły mu na miejsce ostatniego spoczynku. — Bracie po pracy i piórze, ty nieodżałowany szeregowcu sprawy narodowej, niech ci przynajmniej ziemia będzie lekką jeżeli życie takiem być nie mogło!

* * *

(H) Do najcięższych obowiązków sprawozdawcy dziennikarskiego, jeżeli chce sumiennie spełnić swój obowiązek, należy niezawodnie uczęszczanie na popisy uczennic tutejszych szkół muzycznych, a raczej szkół gry na fortepianie. Nawet pierwszorzędne znakomitości europejskie nie cieszą się u nas tak licznym udziałem publiczności na swoich koncertach, jak powyższe popisy. Każda z uczennic posiada zazwyczaj szerokie koło znajomych i krewnych, którzy spieszą usłyszeć jeszcze raz, kilkadziesiąt razy już w domu słyszany w czasie nauki popisowy utwór — nie licząc tych ciekawych, których więcej interesują słuchaczki, jak uczennice. — Ciżba więc w sali niezwykła, a gorąco tropikalne! — I w takiej atmosferze trzeba wysiedzieć 4 do 6 godzin i wysłuchać dwadzieścia kilka mniej lub więcej udałych egzekucyj na fortepianie (!), aby... najczęściej nic nie napisać, ze względu na to, że niepodobieństwem jest wspominać o postępach każdej z uczennic, a zamilczenie o kilku, sprawia tymże niemałe zmartwienie. — Dnia 2. b. m. odbył się popis uczennic ze szkoły gal. Towarzystwa muzycznego, tym razem tylko z klas prowadzonych przez dyrektora p. K. Mikulego, który ze względów na swe zdrowie, otrzymał jednomiesięczny urlop, wskutek czego kurs na tym oddziale skończył się w maju zamiast w czerwcu. Popisy uczennic i uczniów z innych oddziałów odbędą się z końcem tego miesiąca. Wówczas pomówimy obszerniej o wszystkich oddziałach szkoły Towarzystwa muzycznego, a zarazem i o wrażeniu odniesionem na środowym popisie.

* * *

Od p. Adolfiny Zimajer otrzymaliśmy list następujący:

W. Panie Redaktorze!

Opuszczając scenę lwowską z przyczyn odemnie nie zależnych, pragnę choć kilkoma słowami podziękować naszej poczciwej publiczności. Proszę cię zatem W. Panie Redaktorze o przyjęcie tych kilku słów do Twego szanownego pisma.

Łaskawa Publiczności!

Ze wzruszonem sercem żegnam Cię łaskawa Publiczności; i gdziekolwiek się udam, zawsze pamięć Twej łaski i dobroci, której dowody przez 6 lat na lwowskiej scenie od pierwszego mego występu, aż po dziś dzień nieustannie odbierałam, ciągle mi towarzyszyć będzie — a wdzięczność w sercu mojem za Twą serdeczną pobłażliwość, z jaką moją skromną pracę tak hojnie wynagradzałaś — nigdy nie wygaśnie.

Adolfina Zimajer.

TEATR.

Publiczność nasza tak przywykła do lekkiej strawy duchowej, jaką ją dyrekcja teatru od dłuższego czasu karmi, a mianowicie do operetek i fars, że nie dwuznacznie stroni od pożywniejszego pokarmu: dramatu, lub poważnej komedji, choćby to były arcydzieła autorów pierwszorzędnych. Nie chcę bynajmniej czynić dyrekcji zarzutów za kierunek, jaki obrała w układaniu repertuaru — na ten temat bowiem spisano już foljały, a dyskusja w tej sprawie, nie tylko u nas lecz w całej Europie kręci się w błędnem kole, nie rozstrzygnąwszy stanowczo, kto winien, publiczność czy dyrekcje teatrów, że rzeczy prawdziwie piękne lecz poważne nie znajdują dzisiaj ani pokupu ani posłuchu, — chcę tylko zarejestrować fakt, że operetka „Dzwony z Corneville“ dana w tym sezonie po raz dwudziesty, zapełniła zupełnie teatr, podczas gdy znakomita komedja W. Sardou „Safanduły“ od kilku lat nie przedstawiona, nie zdołała przyciągnąć naszą publiczność, a co jeszcze smutniejsze, że nawet imię Wiktora Hugo nie wytrzymało konkurencji z Planquetem! Idjotyczne kuplety wzbudzają śmiech homeryczny, amfiteatr przepełniony trzęsie się od hucznych oklasków, a dowcip wykwintny, satyra wytworna przechodzą bez wrażenia, a co gorsza wcale nie

słuchane! Pani Henryka Ładnowska, artystka sceny naszej, posiadająca niezawodnie wielką sympatję u naszej publiczności, wybrała na swój benefis dramat Wiktora Hugo: „Król się bawi“, lecz ani sympatja dla artystki, ani znakomite imię autora nie potrafiły zapełnić całej sali. Niegdyś wystarczyłaby sama wiadomość, że dramat ten zakazano grać obecnie w całych Niemczech, a u nas po wielu dawniejszych próbach po raz pierwszy cenzura go przepuściła; — dzisiaj nie jest to już dobrą reklamą. „Król się bawi“ należy do pierwszych utworów genjalnego poety, i mimo niektórych usterek scenicznych, zawsze wyrasta po nad wszystkie tuzinkowe utwory dramatyczne głęboką prawdą psychiczną, jaką tchną główne postacie dramatu, poetycznym polotem i piekącą satyrą, jaką autor smaga zepsucie króla i nędzę moralną spodlonych dworaków. Treść sztuki zbyt dobrze jest znaną z wiecznie granej opery „Rigoletto“, aby podawać takową — dodamy tylko, że główna postać dramatu „błazna“ spoczywała w rękach naszego tragika p. Ładnowskiego, który ją odtworzył znakomicie w każdym najdrobniejszym szczególe, i wzbogacił swój repertoar kreacją, którą śmiało do najlepszych policzyć może. Rolę nieszczęśliwej córki Blanki, objęła benefisantka, która to rola bardzo dobrze przypadła do dramatycznego temperamentu artystki. Publiczność nader sympatycznie przyjęła benefisantkę długo trwającemi hucznemi oklaskami, których nie szczędziła jej po każdym akcie.

H. J.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura.

Donosiliśmy już, że Wiktor Hugo napisał nowy poemat p. t. „Religja i Religje“.

Nie mając jeszcze tej książki we Lwowie, nie możemy podać o niej naszego zdania, a sprawozdań i uwag korespondentów paryskich, na wiarę powtarzać nie chcemy.

Podajemy tylko kilka tłumaczonych ustępów tego poematu, jakie Kurjer Warszawski otrzymał od swego korespondenta z Paryża, a które dają pewne wyobrażenie o całości.

Oto jak poeta wypowiada uznanie Boga:

Jest... lecz żaden krzyk ludzki ani głos anioła,
Żadna miłość ni groza pokora ni duma
Tego słowa wyraźnie wyjąknąć nie zdoła.
On jest, jest, jest bez miary, bez granic, bez końca.
A wszystkie ognie, błyski i światła i słońca,
Dnie i noce i światy, co w przestrzeni biegą,
Są cyframi, a On jest sumą. Pełnia Jego
To dla nas nieskończoność .. a ludzkość się sili
Znać Go, znaleźli pewnik i Bóstwo odkryli
Poczęli wyszukiwać i szperać i wnosić...
On jest! czyń to wyznanie świecie... to już dosyć.

. . . .

. . . .

Ty wierz tylko i ufaj w tę miłości córę
Nadzieję, którą skrzydła wiary wznoszą w górę,
Niechaj to przekonanie w sercu twojem wzrasta
Spojrzyj tylko i uznaj że jest, bo niewiasta
Cichym śpiewem dzieciątko swe do snu kołysze,
Jest, bo duch chce odwieczną wciąż rozbudzać ciszę,
Jest, bo wznosim ku niebu dumnie nasze czoła,
Jest, bo żadna nas siła ujarzmić nie zdoła,
Jest, bo Cezar swą dumę przed Patmosem chyli,
Jest, bośmy te wyrazy wielkie wymówili:
Obowiązek, ideał, rozum i nauka,
Jest, bowiem błąd nasz Jego cierpliwości szuka,
Bo ciało we mnie słabe, a dusza jest mocą,
Bo chcę światła, by błysło ponad moją nocą,
Bo myśl biegnąc ku Niemu olbrzymieje w trudzie...
Niechajże te pragnienia wystarczą wam ludzie,
A nie chciejcie już Boga mierzyć swym rozumem...

A teraz o wieczności i nieśmiertelności:

Jakto?... gdy się kochało i czuło i żyło,
Nigdy się już nie ujrzy, nigdy!... żadną siłą
Nie módz już poza ziemią zapewnić spotkania
Dla tych co się kochali! Dziecko, które skłania
Do spoczynku wiecznego uśmiechniętą głowę,
Zginęło już dla matki, noc pod swą pokrowę
Weźmie je... a kobieta z promieniącem czołem,
Pójdzie tam i gdy rzeknę: „do widzenia droga“
Nicość już mi się tylko uśmiechnie złowroga,
I na wieki tam dla nas zaparte już bramy!
I ten grób, który wszyscy czcimy i kochamy,
Grób, co jest życiem dla nas, śmiercią się już stanie!
Nadzieja wobec niebios zapadnie w otchłanie,
Żałoba, która chmurą zasępia nam czoło,
Jest obłędem i kłamstwem i próżnia w około,
I na wieki już ciało całun w dół swój zniesie.
A życie jest sprężyną, co przy śmierci rwie się!
Ślepota, która wzroku chce odszukać znamie,
Jeśli dąży ku światłu, myli się i kłamie!
Istota się ku niebu silnym wznosi rzutem
I ginie! Świat pod tchnieniem kruszy się zatrutem
Nocy, a światło z góry próżno daje hasło,
Na życie, które chwilkę zatliło i zgasło!
I te kółka ma wprawiać nicość niezbadana
W ruch!...
Otchłani! weź nicość a daj nam szatana!

A o ludzkości tak pisze poeta:

Niewolnicy i kaci! tu popiołów fala,
Co tylko bohaterstwa głownia ją zapala,
Słomka, co się pod tchnieniem zażega i gaśnie,
Tłum, co chwilę wśród dymu przewinął się jaśnie,
By zniknąć potem we mgle i zwiać się na marno,
Zostawiając po sobie plamę tylko czarną.
Naczelnicy bez celu, bogowie bez kształtu,
Dzieje, co są zwierciadłem przemocy i gwałtu,
Działa, ostatni wyraz bojowniczej sztuki,
Trony, ofiarne stosy, tryumfalne łuki,
I posągi Cezarów i świątyń zwaliska
I pochodnia zapalna, co z tych świateł błyska
I napływ nocy, kiedy wolność uleciała,
I nienawiść i wrzawa .. oto ludzkość cała.

⁂ W tych dniach oglądaliśmy publikację jaką Czesi, naśladując „Paris-Murcie“ wydali pod tytułem „Narod sobie“, i kto wie czy nie jest ona najbardziej odpowiadająca przeznaczeniu. Nie zawiera wprawdzie zbyt wiele autografów z teraźniejszego świata literackiego w Czechach, ale obejmuje za to drobniejsze poemaciki najznakomitszych czeskich poetów: Heyduka, Nerudy, Fricza, Krasnohorskiej, Vrchlickiego, Pokornego, Mokrego i innych, oraz powiastki Karoliny Svietli, Arbesa, Heritesa, aforyzmy Riegera, Gregra, Baraka, Czelakowskiego, Vilcska, Tyrsza, Z. Podlipskiej. Z autografów znajdują się podpisy i początki utworów kompozytorów Bendla, Smetany, Rozkosznego Dworaka, a wreszcie podobizny Husa Zyżki, Podjebradzkiego. Rudolfa II, falcgrafa Fryderyka, Wallensteina, W. Halki, Sztiepanka, Tyla, Mikovca i innych Rysunki i szkice dali najlepsi artyści czescy, nakoniec strona zewnętrzna nic nie pozostawia do życzenia. Druk tej publikacji wykonały bezpłatnie wszystkie drukarnie pragskie, odbijając arkusze po kolei, a papier dostarczyli również bezpłatnie właściciele papierni czeskich. W ogóle wydanie to budzi istotny interes w narodzie i pozostanie cenną pamiątką chwili.

Nauka.

⁂ Warszawskie towarzystwo lekarskie ukończyło swe prace nad słownikiem psychiatrycznym i odesłało uwagi krakowskiemu komitetowi.

⁂ W Warszawie jest projekt utworzenia towarzystwa przyrodników przy uniwersytecie.

⁂ Zbiory Towarzystwa przyjaciół nauk przenoszone są do muzeum Mielżyńskich w Poznaniu.

⁂ Szwedzki uczony, profesor Radwel, proponuje połączenie Europy z Ameryką północną podmorskim drutem telegraficznym, przechodzącym przez wyspy Feroe, Islandję, przylądek Farewell do Kanady lub Stanów Zjednoczonych. Nowa ta linja miałaby głównie dla meteorologji znaczenie wyjątkowe. Szwecja i Stany Zjednoczone oświadczyły się z gotowością ponoszenia części kosztów.

⁂ W Pradze otwarty został kongres czeskich przyrodników i lekarzy; na prezydenta powołano profesora Alberta z Insbruku.

⁂ Paryska akademja nauk moralnych i politycznych, w miejsce zmarłego Bersot, powołała Beaussire'a.

⁂ Do paryskiej akademji umiejętności, w miejsce zmarłego Juljusza Favra, powołano Edmunda Rousse, adwokata.

Sztuki piękne.

⁂ Br. Abramowicz wystawił w Krakowie obraz „Początek herbu Dęboróg“.

⁂ Na pamiątkę obchodu 400-letnej rocznicy Długosza, Wacław Głowacki w Krakowie wykonał medal z popiersiem historyka na jednej stronie, a na drugiej otwarta księga „Kronika“.

⁂ Ruchoma wystawa obrazów pana Krywulta, po jej zamknięciu w Warszawie, przeniesioną zostado Lublina, a następnie do innych miast w królestwie.

⁂ Na konkursie poznańskim z 11 sztuk, dwie polecono do grania, „Ojcowizna“ i „Praca kobiety“.

Wiadomości społeczne i ekonomiczne.

⁂ Wiadomo, że dotychczas przedsiębiorcy niemieccy powodzią zeszytów zalewają nasze szkoły. Zeszyty te, pomijając złą ich jakość, najczęściej bywają nieodpowiedniemi ze względu na zdobiące je ryciny i osnowę dodawanych objaśnień i opisów.

Dla tego z przyjemnością oglądaliśmy zbiór zeszytów wydanych za staraniem p. Zagórskiego właściciela składu papieru we Lwowie, nakładem Musila w Wiedniu. Odznaczają się one praktycznością i taniością, ozdobione są rycinami z najpopularniejszych chwil dziejów Polski i podają zarazem tekst objaśniający, skreślony piórem p. Lucjana Tatomira. Oprócz rycin i tekstu z historji polskiej, są także ryciny i objaśnienia osnowy geograficznej, samodzielnie, dokładnie i gruntownie napisane. Kto wie, jak silny i stanowczy wpływ wywierają na młodzieńcze umysły pierwsze wrażenia, w szkole odbierane, ten cieszyć się będzie, że młode pokolenie zamiast karmić swą wyobraźnię obrazkami z obcej nam sfery, obrażającemi nawet niekiedy naszą narodowość — zawczasu zapozna się z krajem ojczystym i jego historją — i tem więcej się doń przywiąże. Serdeczna więc wdzięczność należy się p. Zagórskiemu i p. Tatomirowi.

⁂ Ogół ofiar tak w gotowiźnie jak i w naturze, jakie Królestwo Kongresowe złożyło dla głodnych na Szlązku, wynosi przeszło 800.000 Marek, czyli około 400.000 zł.

⁂ Celem ochrony dziatwy rodzin polskich w Romunii, projektowanem jest założenie szkółki elementarnej w Jassach, na co już zebrano 4000 fr. lecz potrzeba jeszcze 8000 fr, ażeby procent od kapitału, 1200 fr. mógł zabezpieczyć trwały byt tej instytucji.

⁂ Ze sprawozdania z czynności i stanu Towarzystwa Polytechników polskich w Monachjum za zimowe półrocze r. 1879/80, dowiadujemy się, że Towarzystwo liczyło członków czynnych 6, biernych zaś 16, Bibljoteka Towarzystwa obejmuje dzieł 217 w 515 tomach; rozchodu miało Towarzystwo złr. 52·75, pryychód zaś wynosił złr. 69·80

⁂ *Mięso amerykańskie.* Niejednokrotnie wspominaliśmy już w piśmie naszem o sprowadzeniu mięsa z Ameryki do Europy, oraz o wpływie jaki handel ten wywrzeć może z jednej strony na cenę mięsa na targowicach, z drugiej na hodowlę bydła w Europie. Przywóz ów bynajmniej nie ustaje, owszem zwiększa się ciągle. Do Hawru w ostatnich czasach przypłynął statek „Paragnay“ z ładunkiem 25.000 centnarów baraniny, bądź ćwiertowanej, bądź w całych sprawionych zwierzętach. Mięso to spotkać można już w Paryżu, w Hawrze, Caen, Bonen. Ponieważ przesyłka ta doskonale się udała, więc za nią pójdą inne. W La Plata znajduje się dużo parowców większych od „Paragnayn“, które szykują się z towarem do drogi.

Na ogromnych stepach australskich pasą się niezliczone trzody owiec, hodowanych jedynie dla wełny. Jak skoro rozszerzy się sprzedaż mięsa zamorskiego, spodziewać się można, że ztamtąd płynąć będzie masa baraniny, która poważną wytworzy konkurencję dla skopów europejskich.

KOBIETY W CHINACH.

Nie od rzeczy może będzie dzisiaj, kiedy o obywatelach państwa niebieskiego coraz częściej wspominają przeglądy i telegramy polityczne, poświęcić słów kilka piękniejszej (jeżeli tak o Chinkach powiedzieć się nam godzi) połowie społeczeństwa tamtejszego.

Kraj herbaty i porcelany, mumja narodów, jest dla nas prawie jakby nieznany; słuchamy często opowieści o mandarynach, jak o żelaznym wilku, wiemy tylko, że gdzieś w głębokiej Azji żyje mrowisko ludzi bardzo zacofanych, odgrodzonych murem od reszty świata, poprzestających na zabytkach przedwiecznej cywilizacji i to wszystko.

Gdy chodzi o szczegóły, to potrafimy dodać w razie potrzeby, że stolicą tego narodu jest Pekin przeludniony, że mężczyźni odznaczają się flegmatycznem usposobieniem, długiemi zwieszonemi wąsami i kosą splecionych włosów, a kobiety minjaturowej wielkości nóżkami, i... oto wszystko prawie.

Niechże nam wolno będzie powiedzieć coś więcej o tych dalekich Chinach, a specjalnie o ich kobietach.

Przedewszystkiem musimy hołd złożyć społecznym ustawom i obyczajom narodu, w którym stary kawaler i stara panna należą do białych kruków.

Co to za świetni ludzie, ci Chińczycy!... wszyscy bez wyjątku wstępują w stan małżeński, i to o ile się da najwcześniej.

Pan młody najczęściej miewa mniej niż lat dwadzieścia, a często już w szesnastym roku pojmuje żonę; panny w czternastym, lub piętnastym gotowe są do zamążpójścia.

Nic dziwnego też, że się często spotyka trzydziestoletnie babki pomiędzy Chinkami.

Ten zwyczaj wczesnego żenienia się jest tradycjonalnym; nie sama dojrzałość fizyczna, ani gorący klimat powoduje tak wczesne małżeństwa, ale tradycja z pokolenia w pokolenie przechodząca.

Rodzina w Chinach, to bardzo poważana instytucja; dążeniem Chińczyka każdego jest przedłużenie jej istnienia choćby w nieskończoność.

Aby ród nie wygasł, kojarzy się jak najśpieszniej nowe stadła; skoro tylko dzieci dorosną, rodzice zajmują się sami ich małżeństwem.

Nie ma bowiem zwyczaju, aby młodzi ludzie pobierali się ze skłonności i własnego wyboru; kawalerowi przez głowę nie przejdzie myśl wyszukania sobie żony, pozostawia tę troskę ojcu i matce — oni za niego wszystko ułożą, przygotują a dopiero do gotowego wprowadzają swego gagatka, który ich woli posłuszny musi wziąć tę, którą mu dają.

Najczęściej kojarzą się stadła w rodzinach równej zamożności; dziewczęta nie mają prawa do dziedzictwa, należną część z majątku rodzicielskiego otrzymują odrazu w posagu.

Gdy się rodzice między sobą porozumią, jedna i druga strona urządza zaręczyny, ale bez narzeczonych, którzy się nie widzą, często nawet nie znają osobiście; ojcowie rodzin wymieniają ze sobą intercyzy, akta ślubne podpisane przez siebie i małżeństwo jest postanowione.

W tym samym dniu pan młody posyła swej narzeczonej w podarunku dwa naramienniki ze złota lub srebra, stosownie do swej zamożności; znaczą one tyle, co nasze pierścionki zaręczynowe; związane bywają tylko nitką czerwonego jedwabiu, na znak połączenia się dwóch rodzin.

Po niejakim czasie narzeczony z wielką wystawnością wysyła ślubne podarki przyszłej towarzyszce życia; składają się one najczęściej z 30 do 40 koszów, wyładowanych drogocennemi haftami, materjami, kwiatami robionemi i przysmakami dla całej rodziny i przyjaciół domu.

Rodzina narzeczonej zaś ofiarowuje narzeczonemu nową, czerwono podbijaną suknię, albo uniform, jeżeli przyszły pan młody piastuje już godność mandaryna, lub doktora.

W tej sukni wystąpić musi przy ślubie.

Wystawna biesiada w obu domach kończy ten dzień uroczysty.

W wigilję ślubu, który tego samego roku co zaręczyny przypaść musi, rodzina panny młodej odsyła panu młodemu posag przyszłej małżonki; posag ten składa się obowiązkowo z umówionej sumy pieniędzy, wszystkich przyborów toaletowych, sreber do użytku domowego, z całego urządzenia i umeblowania domu aż do najdrobniejszych sprzęcików.

Taki posag stanowi niekiedy pokaźną karawanę posłańców i pakunków.

Ożenić się w Chinach to tyle, co zrobić świetny interes!

Rodzina pana młodego natomiast obowiązaną jest wieczorem tego samego dnia posłać kosztowną lektykę narzeczonej, wybitą czerwonym atłasem i ozdobioną bogatemi haftami; przed lektyką postępuje kapela i słudzy z papierowemi latarniami i pochodniami.

Stare szlacheckie rody mają prawo uświetniać ten pochód czerwonym parasolem i zielonym ekranem, które słudzy niosą przed całym korowodem, nadto potrząsają tablicami, na których mieszczą się napisy wszystkich tytułów i urzędów piastowanych przez praszczurów w tem pokoleniu.

Dla obejrzenia ślubnej lektyki i podziwiania posagu panny młodej, w jednym i drugim domu zbierają się krewni, znajomi i przyjaciele na uroczystą wieczerzę.

Do tej pory wszelako młoda para nie miała sposobności poznać się i zbliżyć do siebie; na rozkaz rodziców kochają się już nawet, tęsknią i usychają z ciekawości obaczenia się, ale ceremoniału uświęconego od wieków przełamać im nie wolno.

Kochają się *incognito*, i to wystarcza do dnia ślubu.

Zbliża się wreszcie ów dzień upragniony; deputacja złożona z czterech członków rodziny udaje się po pannę młodą, którą z muzyką prowadzą do domu narzeczonego

Drżąca z ciekawości siedzi biedna Chinka w głębi swej lektyki, szczelnie zamkniętej i osłoniętej i nie śmie wyjrzeć na świat Boży; dopiero gdy ją wniosą do najobszerniejszej sali, gdy się zbliży honorowy drużba z zwierciadłem zawieszonem na szyi i powita niewidzialną, a następnie dwie drużki odsuną firanki, wolno jej wysiąść z lektyki, ale nie wolno odsłonić twarzy, gęstym welonem zakrytej.

W swoim gabinecie pan młody w świąteczne wystrojony szaty oczekuje przybycia narzeczonej; wprowadzają mu ją, zdejmują welon i wówczas po raz pierwszy staje oko w oko... mąż z żoną.

Obowiązek zdjęcia welonu z panny młodej przyjmuje zazwyczaj jakieś starsze małżeństwo, cieszące się zdrowymi i dzielnymi potomkami płci męzkiej.

Mają swoje przesądy i uprzedzenia, ci chińczycy!...

Na miejscu gdzie postawiono ślubną lektykę, przygotowują domownicy rodzaj ołtarza: jest to stół zastawiony kadzielnicami i czarami, pełnemi wina i owoców.

Państwo młodzi, wyprowadzeni z osobnej komnaty, przyklękają u tego stołu i odprawiają modlitwy na podziękowanie najwyższej istocie za swe życie, ziemi za wyżywienie, cesarzowi za opiekę, rodzicom za wychowanie.

Po skończeniu ceremonji nie popartej żadnym religijnym, ani prawnym obrządkiem, małżeństwo uważa się za zawarte, jakkolwiek bez udziału kapłana lub urzędnika.

Pan młody milcząc przedstawia swą żonę krewnym i przyjaciołom przy dźwiękach muzyki, poczem następuje weselna biesiada.

Przez cały wieczór do późnej nocy drzwi domu są na ścieżaj otwarte; panna młoda siedzi za stołem w drzwiach swojej komnaty, pomiędzy dwoma świecznikami... na wystawie, w literalnym tego słowa znaczeniu; wszyscy sąsiedzi bowiem, a nawet obcy przechodnie mają prawo wejść do domu, gdzie się wesele odbywa i obejrzeć nową mężatkę.

Dziwny obyczaj ale zachowywany ściśle od wieków.

Na drugi dzień cały orszak ślubny udaje się do rodziców panny młodej, gdzie się powtarzają ceremonie dnia poprzedniego; wieczorem nowożeńcy wracają do siebie i.. *finita la comedia.*

Mimo to, iż małżeństwa zawierane są w sposób tak obcesowy, bez miłości i konkurów, kwestja małżeńska w Chinach moralniej się przedstawia, niż w zachodniej Europie, a stadła żyją najczęściej w zgodzie i pokoju.

Jednożeństwo jest podstawą uświęconą związków rodzinnych, bigamja surowo wzbronioną; dzieją się wszelako pewne ułatwienia w szczególniejszych wypadkach.

Za zezwoleniem legalnej żony, mężowi wolno sobie trzymać wspólniczkę małżeństwa; Chinki nie łatwo wszakże godzą się na takie ustępstwa, chociaż czasami z wielkiem zaparciem się siebie przystają na dozwolony wyjątek, zwłaszcza gdy przez dłuższy czas nie mogły się doczekać konsolacji.

Takie zastępczynie żon legalnych u Chińczyków mają wtedy tylko prawa majątkowe, gdy pani domu była bezdzietną; w przeciwnym razie pozostają na stanowisku sług i nigdy o żadne wyróżnienie się nie kuszą.

Chinki w obrębie swych murów rodzinnych są zupełnie swobodne, rządzą i gospodarują z wielką energją; w nieobecności męża wolno im załatwiać interesa, nabywać i sprzedawać dobra, handlować, wyprawiać córki i żenić synów na własną odpowiedzialność.

Dom i ogród, oto cała arena ich popisu i działania; poza domem, w towarzystwach trudno je spotkać, również jak w miejscach publicznych, lub na przechadzkach.

Nie znając innych przyjemności, nad rozkosze życia domowego i rodzinnego, nie tęsknią do niczego poza domem i ogrodem.

Całe ich życie spływa w etm otoczeniu spokojnie i szczęśliwie.

Najczęściej pod jednym dachem przemieszkują całe rodziny, złożone z kilku generacyi: wszyscy schodzą się codziennie u wspólnego stołu, a wieczory spędzają razem w ogrodzie.

Jako przykład zgodności i zamiłowania w familijnych zabawach, dom najuboższego chińczyka mógłby za wzór posłużyć niejednemu cywilizowanemu Europejczykowi.

Odpowiedzi Redakcji.

P. L. B. w Krakowie. Wiersz p. S. Duchińskiej będzie wydrukowany w jednym z najbliższych numerów Tygodnia. Dziękujemy.

P. J. Arwinowi w Krakowie. Musimy wprzód artykuł przeczytać.

PP. F. Niecz... i St. Man.... we Lwowie. Nadesłane wiersze p. t. „Z wiejska“ i „Marzenia Dziewczęce“ nie mogą być drukowane w Tygodniu.

Treść Nr. 23. str.

Z Drukarni „Gazety Narodowej“ pod zarządem A. Skerla. Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki.